.. Ewa wzywa 07 ...



Marianna Szymusiak

MILIONERKA



ISKRY

I

Nigdy nie przypuszczała, że przyjmie to tak spokojnie, choć każdego dnia i o każdej godzinie stawał jej potem przed oczyma ekran telewizora z szeregiem cyfr, a rzeczowy głos Edyty Wojtczak wyliczał jej milion. Tak, była milionerką. Mogła kupić sobie samochód, kożuch z komisu, pojechać z „Orbisem" na dwa tygodnie do Japonii, mogła kupić sobie najdroższe narty i pojechać na urlop do Zakopanego, mogła... tak — mogła kupić sobie wszystko. Wiedziała jednak, że nie kupi sobie nawet kożucha i jeszcze tę zimę przechodzi w mocno już wytartym welwetowym płaszczu.

Już parę razy chciała powiedzieć Ryśkowi. Zawsze jednak w tym właśnie momencie, kiedy była zdecydowana, padało jakieś zgryźliwe słowo, widziała jego niechętną twarz i rezygnowała.

Nie ułożyło im się to zbyt szybkie małżeństwo. Poznała Ryszarda na trzy miesiące przed obroną dyplomu. Był fajnym, wesołym i bardzo przystojnym chłopakiem. Nie miał zbyt wiele czasu na spotkania, ponieważ spieszył się ze swoją pracą dyplomową i koniecznie chciał ją obronić jeszcze w czerwcu. W Piaskach pod Lublinem czekała na niego praca, dyrektor fabryki obiecał szybki awans — po trzymiesięcznym stażu miał zagwarantowane kierownicze stanowisko. Wiedział, na co stawia i chciał tę grę wygrać. W Warszawie musiałby latami czekać na taką ofertę i mógł się jej w ogóle nie doczekać. Piaski, co prawda, metropolią nie są, ale jest to już miasto. W dodatku tylko pół godziny jazdy autobusem PKS do Lublina i tyleż samo do Łęcznej, gdzie niedługo mają ruszyć kopalnie węgla i gdzie za lat dziesięć może być tak samo, jak w Dąbrowie Górniczej czy Sosnowcu, skąd właśnie pochodził.

Więc nie bał się prowincji, zrezygnował nawet z ostatnich wakacji studenckich i już od lipca podjął pracę w fabryce. Pojechała za nim. Myślała, że zdąży wziąć ślub w Pałacu na Starym Mieście. Koleżanki z akademika uszyły sobie nawet na tę okazję supermodne i straszliwie udziwaczone sukienki, kierowniczka akademika zgodziła się wynająć świetlicę na przyjęcie; trzeba było jeszcze tylko przyozdobić kwiatami i wstążkami „salę weselną".

Na dwa dni przed ślubem przyszedł do niej uradowany i oznajmił, że już jutro rano będzie w Piaskach. Wszystkie dokumenty przeniesie się do Urzędu Stanu Cywilnego tamże i najpóźniej w końcu lipca wezmą ślub.

Nawet nie płakała. Została jeszcze w Warszawie, a kiedy akademik zupełnie opustoszał, spakowała swoje książki, parę talerzy, dwie łyżki, dwa widelce, jeden nóż i pojechała do Piasków. Nie miała wyboru. Zastanawiała się co prawda przez te dwa tygodnie, czy słusznie robi. Ryszard był fajnym chłopakiem — i tylko tyle mogła o nim w zasadzie powiedzieć. Trzy miesiące to trochę za mało, by poznać dobrze człowieka, a już na pewno za mało, by wiązać się z nim na całe życie. Miała jednak dwadzieścia pięć lat i choć skrzętnie przed samą sobą to skrywała, musiała w końcu przyznać, że staropanieństwo ją przeraża. Wiedziała, że jeśli nie pojedzie do Piasków, ma znikome szanse na małżeństwo i założenie rodziny. Praca w aptece nie sprzyja przecież nawiązywaniu obiecujących znajomości.

Więc nie tyle już z miłości, co z czystego wyrachowania opuściła stolicę. Nie spodziewała się, że po tak przykrej „przedmałżeńskiej uwerturze" czeka ją tyle pięknych dni.

Ryszard dostał służbowy pokój z kuchnią. Na razie w zupełności im to wystarczało, tym bardziej że najpóźniej za rok mieli dostać trzypokojowe mieszkanie. Minęły jednak już trzy lata i nadal mieszkali tam, gdzie na początku. I coraz mniej było tych pięknych dni, kiedy tak wiele mogli sobie powiedzieć, kiedy było im tak dobrze, że aż na wszelki wypadek odpukiwali w nie malowane drzewo.

Stawali się dla siebie coraz bardziej obcy. Co gorzej — zaczynali sobie nawzajem dokuczać, i to z pełną świadomością. Parę razy wspomnieli o

rozwodzie, ale następnego dnia trzeba było iść do pracy, potem coś kupić na obiad i kolację, sprzątnąć w zagraconym niemożliwie mieszkanku i jakoś obydwoje nie mieli czasu iść do adwokata.

Ryszard zresztą już przy pierwszej rozmowie o rozwodzie wyjaśnił, że nie będzie się sprzeciwiał, ale też nie zrobi nic w tej sprawie. Ona zaś nie miała odwagi zdecydować się na ten krok. Musiałaby wszystko zaczynać od nowa, a przecież nie miała żadnej gwarancji, czy to „nowe życie" będzie lepsze od tego, które ma. Liczyła, że wreszcie dostaną mieszkanie. Marzyła o tym mieszkaniu przez całe trzy lata. Wiedziała, że będzie dla nich dużą szansą, że wiele wówczas może się zmienić. Rozumiała żal męża, ale też nie potrafiła wybaczyć mu tego, że on nie chce jej zrozumieć. Nie mogła przecież, nie mogła i nie chciała rodzić dziecka w takich warunkach. Tłumaczyła mu, że to nie ona jest egoistką, lecz on. Właśnie on. Chciał mieć dziecko, marzył o synu, ale już nie myślał, że w tej klitce nie było miejsca nawet dla psa, a cóż dopiero dla dziecka.

Dopiero w kilka miesięcy po przerwaniu ciąży dowiedziała się, że jemu już nawet nie o dziecko chodziło, lecz o nią. Starała mu się wytłumaczyć, próbowała wykpić plotki, on jednak milczał i był zapewne nadal przekonany, że usunęła ciążę z innego powodu.

Parotysięczne Piaski żyły plotkami. Pani magister z apteki była jedną z tych osób, którym przyglądano się uważnie. Dlaczego miała ciągle siedzieć w domu? I cóż miała w tym domu robić? Patrzeć na dawno nie malowane ściany? Dlaczego nie mogła jechać z kolegą z apteki do kina lub do kawiarni do Lublina? Dlaczego nie miałaby się spotykać ze znajomymi w Lublinie? Dlaczego miałaby ustąpić kołtunom i plotkarkom?

Miała czyste sumienie i postanowiła walczyć choćby z całym miasteczkiem. Nie wygrała jednak ani z tutejszymi ludźmi, ani też z własnym mężem. I dlatego właśnie, że przegrała, tym bardziej nie chciała ustąpić. Na przekór wszystkim, nawet samej sobie, prowadziła coraz bardziej ożywione życie towarzyskie, a Ryszard coraz dłużej pozostawał w swojej fabryce.

Teraz jednak mogło się wszystko zmienić. Była milionerką. I wiedziała, że może sobie kupić wymarzony jeszcze w dzieciństwie dom z dużym ogrodem. Najpierw szukała takiego domu w pobliżu Lublina. Ryszard mógłby dojeżdżać do Piasków. Już nawet nie tą używaną syreną, którą kupili sobie rok temu na giełdzie, lecz nowym samochodem, może nawet fiatem 125. Ceny domków w pobliżu Lublina przekraczały jednak nawet jej milionerskie możliwości. Zaczęła więc szukać w pobliżu Piasków. I znalazła.

Dom był parterowy, ale przestronny, z dużym tarasem i pięknym, starym ogrodem. Tylko ten dom z białymi kolumnami ostał się z rozległego przed wojną majątku Krajewskich. I teraz właśnie pięćdziesięcioletni Jan Krajewski chciał go sprzedać.

Powiedziała mu otwarcie, że nie może dać za dom wszystkich pieniędzy. Musi zostawić sobie co najmniej dwieście tysięcy na zakup mebli, dopłatę do nowego samochodu, no i na tak zwany początek nowej drogi. Jakże była zdumiona, kiedy Krajewski zaoferował jej za milion złotych dom i wszystko to, co miał w domu. A w domu tym było wiele naprawdę cennych rzeczy. Stylowe meble w doskonałym stanie, olejne obrazy i portrety rodziny Krajewskich, dużo srebrnych przedmiotów — nie mówiąc już o srebrze stołowym i wspaniałej porcelanie.

Wiedziała, że jest to najdoskonalszy interes, jaki w swoim życiu robi. Próbowała zorientować się, dlaczego Krajewski tak zupełnie bez zastanowienia się oddaje jej wszystko zaledwie za milion złotych. Dowiedziała się tylko tyle, że potrzebne mu są pieniądze, a nie ten stary dom ze starymi rupieciami.

Nie wnikała więc w przyczyny tak mało opłacalnej sprzedaży. Cieszyła się tylko tym, że szczęście jej nie opuszcza.

Dziś właśnie miała z Krajewskim spisać umowę. Chciała jednak jeszcze upewnić się, czy słusznie robi. Wyjaśniła Krajewskiemu, że mąż jej o niczym nie wie. Późnym popołudniem miała przyjechać razem z Ryszardem i pokazać mu ten dom, nie mówiąc oczywiście, że jest to już prawie ich dom. Po prostu — chciała mu zrobić wspaniałą niespodziankę.

Była już szósta. Ryszard spóźnił się, co raczej rzadko mu się zdarzało. Z trudem namówiła go na tę niby przyjacielską wizytę u Krajewskiego. Denerwowała się coraz bardziej i coraz okropniejsze myśli plątały się jej po głowie. Nie, nie bała się o męża. Bała się najgorszego — Krajewski rozmyśli się, zrezygnuje ze sprzedaży, może nawet już zrezygnował. Znowu trzeba byłoby szukać, a przecież takiego domu za taką cenę na pewno już nigdy i nigdzie nie znajdzie.

Ryszard przyjechał piętnaście minut po szóstej.

Zatrzymał się przy krawężniku, nacisnął klakson i ręką dał znak, by zeszła na dół. Rok, dwa lata temu darowałaby mu to, teraz jednak, choć padał ulewny deszcz, zdenerwowało ją takie postępowanie męża. Mógł przecież wziąć parasol, a jeśli nawet nie miał go w samochodzie, to co by mu się stało, gdyby przebiegł te kilka metrów do bramy domu?

Zeszła naburmuszona ściskając mocno pod pachą wypchaną banknotami torbę. Całe szczęście — pomyślała uśmiechając się do siebie — że nie lubię małych torebek. Gdybym teraz wyszła z jakimś pakunkiem, na pewno zaraz by pytał, co jest w środku. A tak do ostatniej chwili nie będzie wiedział, co go czeka.

— Czemuś nie wzięła parasola? — przywitał ją z wyrzutem i odsunął się przezornie. Był w nowym garniturze i nie chciał, by mokry płaszcz żony pozostawił ślady na jego „czystej, żywej wełnie koloru beż".

Spojrzała na niego z niechęcią; zabolał ją ten raczej podświadomy odruch męża. Był pedantyczny aż do przesady, czego o niej akurat nie można było powiedzieć.

— To miłe z twojej strony, że włożyłeś nowy garnitur na pierwszą naszą wspólną wizytę u Krajewskiego — powiedziała uśmiechając się trochę sztucznie, bo wcale nie było jej ani wesoło, ani miło. Chciała tylko samą siebie uspokoić.

— To nie z okazji wizyty u twojego znajomego — wyjaśnił, podkreślając ze specjalnym naciskiem słowa „twojego znajomego". — Po prostu w fabryce był dziś minister. Gdyby nie ten deszcz i opóźnienie, przebrałbym się w sweter. Nie zależy mi na robieniu dobrego wrażenia na twoich znajomych.

— Znowu chcesz mnie specjalnie rozzłościć?

— Nie miałbym nic przeciwko temu, choć nie zabiegam o to w tej właśnie chwili.

Chciała coś odburknąć, ale tylko przygryzła usta. Kłótnia nie miała sensu. Mógłby rzeczywiście tak bardzo się zdenerwować, że trzeba by było odwołać wizytę. Nie wytrzymała jednak.

— Wiesz, Ryszard, zauważyłam u ciebie bardzo interesującą zależność — zaczęła, starając się mówić bez cienia kpiny, co się jej, niestety, nie udało. — Ilekroć chcesz mi dokuczyć, tylekroć mówisz piękną polszczyzną, aż podręcznikową. I dlatego nie potrafię się obrazić. Zapominam bowiem, o co ci chodzi, a wsłuchuję się tylko w ten niezwykły, jak na faceta od spawania traktorów i bron, język literacki.

— Dla ciebie jestem tylko facet od śrubek, a dla innych...

— Pan inżynier — przerwała mu, uśmiechając się już z nie ukrywaną kpiną.

— Nie to akurat miałem na myśli, ale masz rację. Jestem pan inżynier i jest mi z tym bardzo dobrze. Nie mam żadnych kompleksów i zapewne nigdy ich nie będę miał.

— Oby twoje słowo ciałem się stało. Życzę ci tego z całego serca. Zapominasz tylko o jednym: ty będziesz ostatnią osobą, która uświadomi sobie, że ma sto dwadzieścia cztery kompleksy naraz. Jesteś najbardziej zakompleksiałym facetem, jakiego znam.

— Słuchaj, Henryko, czy moja rola nie mogłaby się ograniczyć do prywatnego szofera? Nie mam ochoty wysłuchiwać tego rodzaju insynuacji, a poza tym nie mam czasu.

— Bo co?

Westchnął głęboko, zapalił papierosa i ostrożnie skręcił w boczną drogę.

— Bo dziś był u nas minister z samej Warszawy i całą robotę musiałem odłożyć — mówił już normalnie, nie siląc się na wzniosły ton i wyszukane słowa. — Zaraz muszę wracać i na pewno przed północą nie skończę tej dokumentacji. Trzeba ją oddać jutro rano. Mam robotę na sześć—siedem godzin. Jeszcze jak przyjdzie ta maszynistka, która jednym palcem stuka w klawisze, to do świtu nie skończę. Żeby, cholera, dobrej maszynistki w całych Piaskach nie można było znaleźć!

— Jak jest dobra, to ma dobrą robotę w Lublinie. Po co ma siedzieć latami w służbowej kawalerce? Nie każdy jest takim Judymem, jak ty.

— Niestety, nie każdy. Nie wiem, czy cię ucieszy najnowsza wiadomość i nawet nie wiem, czy ci o tym mówić.

— Jak nie chcesz, to nie mów, twoja wola, panie.

Milczał przez chwilę, zanim zdecydował się jej to powiedzieć.

— Dostajemy mieszkanie po inżynierze Dąbku. Awansuje do Lublina. Za trzy tygodnie możemy się tam wprowadzać.

Przed dwoma miesiącami rzuciłaby mu się na szyję, może nawet popłakałaby się z radości. Teraz jednak nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Mieszkanie po Dąbku. Trzy duże pokoje, obszerny korytarz, kuchnia z dużym oknem, łazienka z glazurą, centralne ogrzewanie z lokalnej kotłowni, tylko gaz na butlę, ale przecież nawet w domu

Krajewskiego musiałaby mieć butlę z gazem. I u Krajewskiego są piece, a nie centralne ogrzewanie.

— Nie ucieszyło cię to, co? Mnie zresztą też. I nie sądzę, żebyśmy się kiedykolwiek do tamtego mieszkania wprowadzili.

Zgasił papierosa i zaraz zapalił nowego.

— Wiesz, Ryszard, nie mogę ci jeszcze tego powiedzieć... — urwała. — Jutro się dowiesz, jutro ci powiem. To nie jest jeszcze pewna sprawa. Muszę mieć to już w ręku, żeby być na sto procent pewna. Dlatego nic ci teraz nie mogę jeszcze powiedzieć. — Poczęła się usprawiedliwiać, ale widziała, że znowu gdzieś się w swoich dobrych chęciach rozminęli.

Spojrzał na nią uważnie. W jego szarych, zwykle obojętnych oczach pojawiło się coś złego, lecz tylko na moment. Zatrzymał samochód przed bramą ogrodową.

— Nie będę wjeżdżał do środka, zaraz muszę wracać.

— I w taki deszcz będziemy iść? — zdziwiła się. — Przecież przemokniemy do suchej nitki. A twój nabytek z „czystej żywej wełny koloru beż"?

— A niech go diabli wezmą! — zaklął nagle, sięgnął na tylne siedzenie po jesionkę i wysiadł z samochodu. Jesionkę nałożył już na drodze, poszedł pierwszy, otworzył furtkę i niecierpliwie ponaglił żonę. — Przestań tak się guzdrać! I tak zanim dojdziesz do domu, będziesz cała utytłana w tym piekielnym błocie!

— To nie błoto, tylko ogród. Gdyby było lato, zobaczyłbyś, jak tu jest pięknie. Chciałbyś mieć na pewno taki ogród, co?

— Wszystko jest piękne, co nie moje — burknął.

— Ale chciałbyś mieć taki ogród?

— A po co? Co mi z ogrodu! — już prawie krzyczał.

— Ale ja bym bardzo chciała mieć taki ogród. I taki dom — wskazała ręką na biały dworek.

— Nic jeszcze straconego. Masz duże szanse. Krajewski, o ile mnie pamięć nie myli, jest starym kawalerem i lubi rozdawać prezenty.

Poczuła się tak, jakby dostała w twarz. Nawet odruchowo cofnęła głowę w tył.

— Ty... Ty... — wychrypiała. I naraz zaczęła krzyczeć: — Jesteś podły! Jesteś potwornie podły! Wynoś się stąd! Wracaj do tej przeklętej fabryki i mieszkania po Dąbku! Nienawidzę cię! Nienawidzę!

— Ostrożnie! — zawołał z tarasu Krajewski. — Na tej dróżce można się pośliznąć.

— Wracaj do samochodu! — rzuciła przez zęby, wyminęła męża i zaciskając ze złości pięści zaczęła prawie biec.

— Nie zamierzam dawać nowej okazji do plotek — odpowiedział jej również przez zęby i ruszył za nią.

Krajewski był w wyśmienitym humorze. Kazał gospodyni, dość młodej jeszcze kobiecie, szybko podać gorącą herbatę z rumem, a sam zaprowadził gości do saloniku.

Czuła, jak trzęsą się jej jeszcze ręce ze złości. Nie potrafiła ukryć zdenerwowania, bała się, że za chwilę rozpłacze się jak dziecko. Tyle serca włożyła w tę sprawę, tak się cieszyła, myślała, że będzie to najpiękniejszy dzień w jej życiu. Teraz nie miała już żadnych złudzeń. Za daleko odeszli od siebie. To już nie był jej mąż, nie było już czego ratować. Nawet Zamek Królewski w Warszawie już nic by im nie pomógł.

— To i telefon pan ma? — zdziwił się szczerze Ryszard, widząc na stylowym stoliku staroświecki aparat. — A może to tylko bibelot na pokaz?

— Działa. Zapewniam pana, że działa — wyjaśnił z przekąsem gospodarz domu. — Przeprowadziłem na własny koszt linie.

— No, w pana sytuacji...

Krajewski roześmiał się głośno.

— Pan też myśli, że jestem bogaty? Wszyscy się dziwią, dlaczego nikt mnie jeszcze nie napadł, nie włamał się, nie okradł. Złodziej nie idzie w ciemno i złodziej najlepiej wie, kto ma, a kto nie ma. A ja, owszem, miałem, ale już nie mam. I dlatego nikt nigdy mnie nie okradł. Mogę się założyć, że mam w tej chwili mniej pieniędzy niż pan.

— Ale to wszystko — Ryszard wskazał ręką na obrazy, meble, srebrne lichtarze i niezliczoną ilość pięknych drobiazgów — ma przecież określoną wartość.

— Ma, zgoda, ale nie dla mnie i nie dla złodzieja. Złodziej tego nie sprzeda, chyba że pokątnie, na jakichś bazarach, a ja... No cóż... Przywykłem do wygody i luksusu. Ciężko mi będzie żyć wśród mebli na wysoki połysk lub w segmentach. Mam jednak nadzieję, że mnie to ominie.

Henryka słysząc to spojrzała z nie ukrywanym niepokojem na Krajewskiego.

To jednak rozmyślił się — pomyślała przestraszona, ale w tym momencie zauważyła porozumiewawczą minę Krajewskiego. Uśmiechnęła się

oddychając z ulgą. Ani ona, ani też Krajewski nie zauważyli złowrogiego błysku w oczach inżyniera.

Gospodyni przyniosła herbatę w tak pięknych filiżankach, że Henryka nie mogła powstrzymać się od szczerego zachwytu nad porcelanowymi cackami.

— Mogę ci je ofiarować w prezencie — Krajewski skłonił się szarmancko. — Na pewno będą ozdobą twojego domu. Dziś jest tak mało ludzi, którzy potrafią cieszyć się drobiazgami. Tak, tak, panie inżynierze, mało dziś jest takich ludzi — zwrócił się do posępnego Ryszarda, jakby chciał go przekonać, choć milczący od dłuższego czasu małżonek Henryki nie dał mu żadnego ku temu powodu.

— Mógłbyś nas oprowadzić po swoim muzeum? — zażartowała Henryka, naprowadzając Krajewskiego na właściwy cel ich wizyty.

— Ależ oczywiście. Nie wiem tylko, czy pana inżyniera akurat to interesuje?

— Ma pan rację, nie interesuje. — Głos Ryszarda był twardy. — Inżynierowie interesują się tylko swoimi śrubkami i mutrami. Porcelana, starocie i inne inteligenckie wymysły nas, twardogłowych, nie interesują.

— Nie chciałem pana obrazić, pan mnie źle zrozumiał — Krajewski począł się tłumaczyć, ale to tylko pogorszyło sytuację.

Henryka, speszona i zaczerwieniona ze wstydu, piła szybkimi łykami gorącą herbatę, ściskając oburącz kruchą filiżankę.

Dlaczego, Boże mój, dlaczego on jest tak podły? — myślała z rozpaczą. — Co ja tu robię? Po jakiego diabła kupuję ten dom? Przecież ja ani jednego dnia już z nim nie wytrzymam. Dlaczego on to powiedział? Dlaczego tak bardzo chce mi dokuczyć?

— Przepraszam pana, zachowałem się rzeczywiście niewłaściwie, ale mam dziś szczególnie zły dzień — Ryszard starał się zatrzeć fatalne wrażenie. — I to od samego rana. No, ale nie będę nudzić pana takimi przyziemnymi sprawami. I proszę mi wierzyć, naprawdę z chęcią obejrzę pańskie mieszkanie — dokończył przeprosiny już z wyraźną kpiną w głosie.

Krajewski jednak jakby nie wyczuł kpiny. Zaczął ich oprowadzać po domu, wyciągał z szaf i komódek prześliczne drobiazgi, wyjaśniał ich pochodzenie, podawał nazwiska malarzy portretów i obrazów, starał się nawet być dowcipny, ale wszyscy troje czuli jakieś niemiłe napięcie. Przechodząc obok narożnego pokoju Krajewski wyjaśnił, że teraz tam wejść nie mogą, ponieważ jego siostra przygotowuje się do wyjazdu.

— Mieszka w Lublinie, przyjechała do mnie na parę tygodni i właśnie dziś musi wracać. Ale w tym pokoju nie ma akurat nic ciekawego, po prostu pokój gościnny.

Wrócili do saloniku. Krajewski wyjął kryształową karafkę z domową nalewką i napełnił ciemnobrunatnym płynem smukłe kieliszki. Henryka z niepokojem zauważyła, że mąż wypija kieliszek za kieliszkiem, a Krajewski ciągle mu dolewa. Odstawiła więc swój. Co prawda do fabryki było zaledwie sześć kilometrów, ale... Obawiała się, że za pół godziny jej małżonek nie będzie mógł już prowadzić samochodu.

I rzeczywiście tak się stało. Po wypiciu kolejnego kieliszka zdradliwej, bo z pozoru słabej nalewki wstał i oznajmił, że musi wracać do fabryki.

— Chyba nie pojedziesz samochodem? — w pytaniu Henryki zabrzmiała wyraźnie nuta ostrzeżenia.

— Nie ma sprawy. Zadzwonię po służbowy. Po pana inżyniera na pewno przyjadą.

— Mam nadzieję, że tak. Tylko nie wiem, czy ty dziś uporasz się z tą dokumentacją.

— Nie martw się, kochanie, o mnie. Zawsze dawałem sobie radę sam, to dam i teraz. Co mam zrobić, to i zrobię. A wam życzę wszystkiego najlepszego. Niech to będzie wasz najmilszy wieczór — zaśmiał się pijacko. Po czym puścił oko do Krajewskiego i prawie poklepując go po plecach stwierdził bełkotliwie: — Pan masz gust. Co, jak co, ale gust masz pan dobry.

W pół godziny później odjechał służbową wołgą.

Po jego wyjściu odetchnęła z ulgą, a i Krajewski rozluźnił się.

— Wiesz, proszę, nie zrozum mnie źle...

— Wiem, co chcesz mi powiedzieć — przerwała mu dość ostro. — Rzeczywiście nie jesteśmy przykładnym małżeństwem, no, ale na takie układy nie ma rady — i rozłożyła bezradnie ręce.

— To znaczy, że rezygnujesz z kupna tego domu? — Krajewski starał się nie pokazać tego po sobie, ale był zaniepokojony.

— Właśnie zastanawiam się. Jak myślisz, po rozwodzie będę musiała dzielić się tym domem z mężem?

— Prawdopodobnie tak. Wszystko to, co nabywa się w trakcie trwania małżeństwa, przy rozwodzie dzieli się na pół. Chyba że jedna strona zastrzeże sobie wyłączne prawo na przykład do

samochodu kupionego za własne pieniądze lub do domku. Ale trzeba mieć chyba zgodę współmałżonka i notarialne poświadczenie. Doprawdy nie wiem, czy akurat nie wprowadzam cię teraz w błąd, ale coś takiego na pewno można zrobić.

— Więc kupuję. Tylko wiesz, co zrobimy? Datę na umowie przesuniemy o jakieś dziesięć dni, a w tym czasie zorientuję się w Lublinie, co mam zrobić, żeby ten domek został przy mnie po rozwodzie. Zresztą nie sądzę, żeby mój mąż żądał przy rozwodzie jakiegokolwiek podziału majątku.

— Jak uważasz — zgodził się Krajewski i podał jej umowę.

Była bardzo szczegółowa, zawierała spis wszystkich przedmiotów znajdujących się w domu. Krajewski dołączył jeszcze parę dokumentów, wyciągi z ksiąg wieczystych i wszystko to oddał Henryce, zostawiając sobie kopie. Podpisali i wstawili datę zaproponowaną przez nią — szóstego grudnia.

— Będę miała wielki prezent od Mikołaja — roześmiała się zadowolona i położyła na stole paczkę pieniędzy.

Pożegnali się serdecznie, oboje byli bowiem przekonani, że zrobili dobry interes. Deszcz nadal padał i było tak ciemno, że z trudem dobrnęła po błotnistej ścieżce do samochodu. Szczękając z zimna zębami próbowała uruchomić silnik, jednak bez rezultatu. Nie miała ochoty w taką pogodę szukać pod maską uszkodzenia, tym bardziej że podejrzewała zalanie świec, a zapasowych nie miała. Wróciła więc do domu Krajewskiego i zadzwoniła do kolegi z apteki. Był akurat w domu i obiecał natychmiast przyjechać po nią swoim „wózkiem" — jak nazywał kupionego przed miesiącem fiata 126.

II

Porucznik Szymański pił właśnie swoją poranną herbatę, kiedy do pokoju prawie wbiegł sierżant Zych.

— Komendancie, przed chwilą dzwoniła Adamczykowa. Mówi, że Krajewski nie żyje.

— Napad?

— Nie mówiła nic o napadzie, ale może i napad. W każdym razie „hrabia" wczoraj był jeszcze cały i zdrów.

— Człowiek nie żyje, a wy sobie kpiny robicie. Co za ludzie... Bierz samochód i wołaj naszych kryminalistów. I dzwoń na wszelki wypadek do Lublina.

— Po co do Lublina? Przecież to na pewno prosta sprawa.

— Ale jest trup. A jak jest trup, to potrzebny prokurator i Lublin.

— Może to tylko nieszczęśliwy wypadek? Ośmieszymy się jeszcze.

— Ty się teraz ośmieszasz. Tak, tak, detektywie z łaski bożej. Zapominasz, gdzie pracujesz. Nie w Warszawie, tylko w Piaskach. Do roboty i to migiem. Adamczykowa to wiejska kobiecina, jeszcze coś nam poprzestawia albo sprzątnie i dopiero wtedy będzie bieda.

— To pan myśli, że jednak zabójstwo?

— A co ja mam myśleć? Sam powiedziałeś, że wczoraj „hrabia" był zdrów i cały.

Sierżant Zych idąc do drzwi ukradkiem spojrzał jeszcze raz na komendanta. Chciał sprawdzić, czy Szymański rzeczywiście jest zaniepokojony. Bo jeśli myślał o zabójstwie, to powinien być nawet mocno zaniepokojony. Zych pracował w Piaskach już dwa lata i przez ten czas nie dokonano ani jednego zabójstwa, ani też napadu. Owszem, nie było prawie dnia bez większej awantury pijackiej, a w dni targowe chłopi z pobliskich wsi załatwiali w mieście nie tylko swoje interesy, ale i zadawnione urazy. Ale zabójstwa? Nawet ta burda pijacka sprzed roku zakończyła się w miarę szczęśliwie — napadnięty stracił tylko oko, a rozbitą głowę wyleczył po paru miesiącach. A że sam zaczął, to i wyroki były niskie.

Teraz mogło być jednak prawdziwe zabójstwo. Bo przecież Krajewski był wczoraj w mieście i na chorego nie wyglądał. A Adamczykowa nie krzyczałaby bez powodu do słuchawki.

Po kilkunastu minutach dotarli na miejsce.

— A co tu robi inżynier Nowacki? — spytał zdumiony Szymański, widząc na drodze żółtą syrenę. — Czyżby do Krajewskiego przyjechał?

Zych rozłożył tylko bezradnie ręce.

— Adamczykowa nic o nim nie mówiła. Dowiemy się na miejscu.

Przeskakując błotniste kałuże doszli do domu. Przerażona Adamczykowa stała przy drzwiach. Była tak roztrzęsiona, że nie mogła powiedzieć ani słowa. Pokazała tylko ręką na drzwi.

— Ruszała pani coś? — spytał Szymański.

Kobieta pokręciła głową.

Zostawili ją w korytarzu i weszli do pokoju. Na dywanie, w pobliżu stylowego kwadratowego

stolika, leżał Krajewski. Jeden rzut oka wystarczył, by upewnić się, że nie żyje. Szymański nachylił się nad nim ostrożnie i dopiero wtedy zauważył na lewej skroni głęboką ranę. Wstał i uważnie rozejrzał się po pokoju.

— Taaak... — westchnął z zadumą. — No, chłopaki, do roboty. Jeśli to nie nieszczęśliwy wypadek — mamy zabójstwo. Ale mógł sam upaść na ten stolik. Zobacz, Zych — przywołał sierżanta — kto wymyślił takie okucia narożne? Dziś by taki numer w fabryce mebli nie przeszedł. Przecież to jest śmiercionośne narzędzie, a nie mebel, no nie? Może dzieci kiedyś nie biegały po pokojach tak jak dziś. Moje smyki, zanim zaczęły po ludzku chodzić, dzień w dzień nabijały sobie porządne guzy i sińce. I gdybym ja miał taki stolik, tobym chyba musiał go kocem owinąć. Zabił go ten antyk. Gdyby tu stał porządny okrągły stół, facet miałby tylko guza. A tak — zabił się. Zabierajcie się do roboty, ale ostrożnie. Żeby ci z Lublina nie mieli pretensji. Ja pogadam teraz z Adamczykową.

Wyszedł na korytarz i zawołał kobietę. Pokręciła znowu przecząco głową. Była chyba w silnym szoku. Stała przy drzwiach z opuszczonymi rękami i sprawiała wrażenie, jakby za chwilę miała zemdleć.

— Niech się pani uspokoi, przecież i tak nic mu już pani nie pomoże — Szymański starał się mówić jak najłagodniej. — Chodźmy do kuchni. Tam... nie musi już pani iść. No, chodźmy.

Kobieta wreszcie ruszyła się spod drzwi. Przeszła wolno do kuchni, machinalnie starła fartuchem taboret i podsunęła komendantowi. Siadła na drugim, spuszczając głowę.

— O której godzinie pani tu przyszła?

— O dziesiątej. Zwykle przychodzę na siódmą i robię Krajewskiemu śniadanie, ale wczoraj kazał mi przyjść dopiero na sprzątanie. A jeszcze przedtem, kiedy pracował w Lublinie, w muzeum, to przychodziłam po szóstej. Mieszkam niedaleko, to i żadna trudność dla mnie, choć wstać muszę z samego rana.

— To Krajewski już nie pracował w muzeum? — zdziwił się porucznik.

— No pewnie, że nie. Tak gdzieś od pół roku, zaraz, zaraz... — zastanowiła się. — No tak, od maja już nie pracował. Więcej niż od pół roku.

— A pani nie wie, dlaczego rzucił pracę?

Pokręciła głową.

— To już nie moja sprawa. Gdzież bym miała odwagę o takie rzeczy go pytać.

— Ile pani płacił?

Spuściła znowu głowę w dół.

— Dużo — szepnęła jakby zawstydzona.

— To znaczy ile?

Milczała.

— Czego się pani boi? — zdziwił się porucznik. — Przecież to sprawa Krajewskiego i mógł pani płacić tyle, ile chciał. I niech pani nie myśli, że ja od razu doniosę mężowi, ile pani rzeczywiście zarabiała.

Kobieta podniosła głowę. W jej oczach, w całej jej twarzy malował się strach i mściwość. Miała około czterdziestu lat i gdyby była drobniejsza, wyglądałaby na pewno na młodszą. Jej śniada twarz była jeszcze prawie bez zmarszczek, ciemne włosy bez cienia siwizny, duże i bardzo ładne oczy intensywnego niebieskiego koloru patrzyły śmiało. Uważano ją tu za najładniejszą kobietę, ale też i nie miano o niej dobrego mniemania. Zamężna od przeszło dwudziestu lat, do tej pory nie miała dziecka, co na wsi zawsze było utożsamiane z ciężką karą boską. Mąż jej był magazynierem i jednym z największych pijaków w okolicy. Chłop pijący nawet za dużo — to mieściło się w normie, ale kobieta bez dziecka zawsze stawała się podejrzana.

— No więc ile? — ponaglił ją zniecierpliwionym już tonem Szymański.

— Trzy tysiące.

— Ile? — porucznik był mocno zaskoczony.

— No właśnie, pana też to zdziwiło. A gdyby się jeszcze ludzie dowiedzieli, ile mi Krajewski płacił, to za lafiryndę już by mnie jawnie ogłosili.

— Nie dowiedzą się, niech się już pani nie boi. Ale czy nie była pani zdziwiona aż tak dużą zapłatą?

— A pan by się dziwił, gdyby państwo zaczęło płacić panu piętnaście tysięcy? — wzruszyła ramionami. — Siedziałby pan cicho jak mysz pod miotłą i cieszył się, że tyle forsy dają. Co miałam się dziwić? Na biednego nie popadło. Fanaberie pańskie miał, śniadania nawet sam sobie nie chciał robić, a mnie bez różnicy, czy komuś piorę przez tydzień za marne pięćset złotych brudną pościel, czy na srebrnej tacy podaję jajecznicę z pomidorami do łóżka. Płacił dużo i dużo wymagał, a mnie to odpowiadało i już.

— I do ostatniej chwili tyle płacił? Przecież od maja już nie pracował.

— A czy pan myśli, że on mi z pensji płacił? Ile on mógł w tym muzeum zarobić? No, niech będzie cztery tysiące złotych. To z tego mógłby

sobie kupować tyle różności i jeszcze żyć na takim poziomie? Tylko, panie komendancie — w oczach kobiety znowu pojawił się strach — jak mój stary dowie się, ile tu zarabiałam, będzie pan miał drugiego trupa. On by mnie za to zabił. Nic przeklęty pijaczyna do domu nie przynosi, a tylko wynosi. Nawet złotówki z jego pensji nigdy nie widziałam. A przecież z czegoś musiałam żyć. Głupiej kiecki nie mogłam sobie kupić, boby zaraz była awantura. Jadłam u Krajewskiego, a pieniądze odkładałam na lepsze czasy. Bo to ja wiem, którego dnia mój stary zapije się na śmierć? I co ja wtedy zrobię? Z czego będę żyć? Pola przecież nie mamy, a z siedmioma klasami to ja mogę tylko zamiatać albo prać.

— Niech pani opowie, jak to dziś było. Tylko bardzo dokładnie.

Kobieta znowu wzruszyła ramionami.

— Przecież już tak do cna ciemna nie jestem. Wiejska baba, bo wiejska, ale przy Krajewskim trochę się poduczyłam. I wiem, że wszystko jest teraz ważne.

— To pani myśli, że to było zabójstwo?

— A co? Pewnie, że ktoś go zamordował. Sam się nie zabił. On dopiero teraz chciał sobie naprawdę pożyć. Za granicę się wybierał i chyba dlatego przestał pracować. A dziś to było tak. Przyszłam na dziesiątą do sprzątania. Jego miało już nie być. Mówił mi wczoraj, że jedzie do Lublina z jakąś sprawą. No i jak przyszłam, to jak zwykle zaczęłam od kuchni. Wysprzątałam ją do czysta, sam pan przecież widzi, że tu wszystko aż lśni...

— Niestety — wtrącił się Szymański.

— Ale tylko w kuchni sprzątałam. A potem poszłam do pokoju jego siostry. Chciałam sprawdzić, czy już wyjechała.

— Wczoraj tu była?

— No tak. Siedziała tu już prawie dwa miesiące. Mieszka w Lublinie. Przyjechała niby tylko w odwiedziny na parę dni, a tu tygodnie mijają, a ona wcale nie chce wracać. Mnie to nie wadziło, bo jak robiłam obiad dla Krajewskiego, to mogłam i dla niej zrobić. A jak kiedyś miała do mnie pretensje, to Krajewski przy niej, wyobraża to sobie pan, przy niej powiedział do mnie, że siostra jest tu tylko gościem, a nie właścicielem tego domu. I od tej pory unikała mnie. Nie wiem, czy kilkanaście zdań od niej usłyszałam. W ogóle się nie odzywała. No i wczoraj była tu piekielna awantura, niczym w moim pijackim domu. Krajewski zamknął drzwi od salonu, a dom jest solidny, to i mało słyszałam. Krzyczał jednak strasznie i kazał się jej natychmiast wynosić do Lublina. Potem widziałam, jak z płaczem pobiegła do swojego pokoju. Ona nie krzyczała, jej głosu wcale nie słyszałam. Jest starsza od Krajewskiego, ale jest to taka prawdziwa paniusia, no wie pan, co mam na myśli? Nie przepracowana, to i zadbana. Paznokcie zawsze umalowane, chociaż w tym wieku malować sobie paznokcie i to jeszcze na kolorowo? Włosy ufarbowane, ale nie powiem, przystojna jeszcze.

— A co pani dokładnie usłyszała?

— Mało. Krajewski krzyczał, a potem mówił cicho i znowu krzyczał. Domyśliłam się tylko tyle, że natychmiast ma jechać do Lublina i nigdy więcej tu nie wracać.

— Ale czy mogłaby pani konkretne zdania powtórzyć?

Zamilkła na chwilę i zmarszczyła czoło.

— No tak... On powiedział: „To jest mój dom i zrobię, co będę chciał." I jeszcze: „Masz mieszkanie w Lublinie. Wynoś się stąd". A inne zdania to były pourywane, domyślam się tylko, o co chodzi.

— I pojechała?

— Wieczorem jeszcze była. Krajewski powiedział mi, że dostała histerii i wzięła jakieś tabletki. A jak się obudzi, to mam dopilnować, żeby się wyprowadziła. Ale kiedy wychodziłam z domu, to jeszcze była.

— A o której pani wyszła?

— Późno. Gdzieś tak o dziesiątej. Krajewski miał wczoraj gości. Aptekarkę z mężem.

— Nowackich?

— Nazwiska nie znam, ale wiem, że ona pracuje w aptece. Ta młoda blondynka, co tu z Warszawy zjechała przed paroma laty, a jej mąż jest inżynierem w fabryce.

— Przyjechali syrenką? Tą, która stoi przy ogrodzie?

— Tak. Po jej męża przysłali samochód służbowy. Ona tu jeszcze została, potem nie mogła jechać, bo w samochodzie coś się popsuło i przyjechał po nią kierownik apteki. Zaraz potem pojechali, a ja zabrałam się za robienie kolacji i sprzątanie. Nie spieszyłam się, bo i nie mam do czego. I tak, jak powiedziałam, gdzieś koło dziesiątej poszłam do domu. A dziś, kiedy szłam do jej pokoju, to znaczy do pokoju jego siostry, zobaczyłam, że w salonie świeci się światło. Drzwi były uchylone. Pomyślałam nawet, że on musiał bardzo wcześnie wstać, rano jest jeszcze ciemno, a

potem zapomniał zgasić światło. Weszłam i myślałam, że na miejscu umrę. Nie mogłam się ruszyć. Wreszcie jakoś oprzytomniałam, pobiegłam do pokoju siostry, ale jej już nie było, to wybiegłam z domu. Jak dobrze zmokłam na deszczu, to już do reszty oprzytomniałam. Wróciłam do salonu, żeby zobaczyć, czy on na pewno nie żyje. No i nie żył. Odwróciłam się tyłem do niego i zadzwoniłam do was. A potem już ani razu tam nie wchodziłam i nie wejdę. Nie chcę go widzieć. I tak będzie mi się po nocach śnił.

— To pani nie wie, kiedy jego siostra wyjechała?

— Na pewno dziś rano. Po dziesiątej nie ma już żadnego PKS-u, ale rano od piątej, prawie co pół godziny, jeżdżą autobusy do Piasków albo do Lublina przez Piaski. Krajewski samochodu nie ma i też jeździł autobusem. Dużo domów jest przy przystanku, na pewno jacyś ludzie ją widzieli. Obcych tu zawsze widać. A jeszcze jak miała ze sobą dwie walizki?

— A czy Krajewski był rozebrany, to znaczy był już w szlafroku, kiedy pani wychodziła?

Ku ogromnemu zaskoczeniu Szymańskiego kobieta zaczerwieniła się.

— No tak... On... To znaczy pan Krajewski wieczorem zawsze rozbierał się i chodził w tym szlafroku — przestała się wreszcie jąkać. A Szymański od razu nabrał tych samych podejrzeń, którymi żyła wieś. Reakcja Adamczykowej była bowiem jednoznaczna. Mężczyzna chodzący w szlafroku nie powinien jej peszyć, jako że i tak był ubrany po szyję w porównaniu choćby z jej mężem czy sąsiadami, którzy w pomiętych granatowych kalesonach do kolan chodzą nie tylko po domu, ale i po obejściu. Sama Adamczykowa na pewno chodzi w lecie tylko w milanezowej halce czy nawet w biustonoszu po swoim ogrodzie przy domu. Więc jeśli tak zareagowała na ostatnie pytanie, to chyba chodziło o coś innego...

Przyjrzał się jej uważnie. Kobieta myślała widać teraz o tym samym, bo spuściła znowu głowę i zamilkła.

— Zna pani adres siostry Krajewskiego?

— Nie.

— A gdzie pracuje?

— Nie wiem.

— Ale pracuje?

— Nie wiem — kobieta odpowiadała krótko i ze złością.

— No tak... Nic więcej pani nie wie?

— Nie.

W tym właśnie momencie do kuchni zajrzał Zych.

— Komendancie, przyjechali z Lublina.

— Bardzo dobrze. Niech pani tu jeszcze chwilę zostanie — zwrócił się do Adamczykowej i wyszedł na korytarz.

— A cóż takiego się stało? — zawołał na widok tęgiego milicjanta z tak rudymi, że prawie czerwonymi włosami. — Czyżby kapitan Naziołek już zupełnie nic nie miał do roboty?

— Gdyby nie ten telefon, to może bym się dziś trochę ponudził — zażartował kapitan. — Jak wygląda sprawa?

Szymański rozłożył ręce.

— Jesteśmy tu dopiero — spojrzał na zegarek — dokładnie od czterdziestu dwu minut, to i co ja mogę wiedzieć? Wygląda na nieszczęśliwy wypadek. Ale powiedz mi, chłopie, po coś tu sam przyjeżdżał?

Naziołek pociągnął nosem, robiąc przy tym tajemniczą minę.

— Dmucham na zimne...

— Obywatelu kapitanie — wtrącił się błagalnym tonem Zych. — Co tu dmuchać? Jak jest jakaś ciekawa sprawa, to zaraz nam ją zabieracie, a potem się dziwicie, że nikt nie chce pracować na prowincji. My znaliśmy denata lepiej niż wy i jeśli jest to zabójstwo, to na pewno zabójcę też lepiej znamy niż wy. Dajcie nam chociaż raz popracować.

Szymański fuknął na sierżanta.

— Pcha się do roboty i pcha — wyjaśnił kapitanowi. — Czy ty wiesz, że gdyby on tu był komendantem, toby was nawet nie zawiadomił? A kto, ty mój detektywie z bożej łaski — zwrócił się do Zycha — przygotuje całą dokumentację? Kto przeprowadzi sekcję zwłok i ustali czas zgonu, jego przyczynę? Może ty, co?

— No nie — począł się bronić Zych. — Mamy od tego specjalistów w Lublinie. Ale... kapitanie — znowu przeszedł na błagalny ton — możecie przecież oddać nam jutro całą dokumentację, a resztą my się zajmiemy.

— To znaczy pogrzebem — zakpił zły już Szymański. — Bo i skąd wiesz, że to nie nieszczęśliwy wypadek?

— On ma rację — przerwał Szymańskiemu kapitan. — Tym bardziej, że roboty zwaliło nam się ostatnio aż za dużo. My zdejmiemy ślady, zabierzemy zwłoki, a jutro — jeśli to będzie nieszczęśliwy wypadek — odeślemy wam wszystko i zakończycie robotę. Dobrze?

— Obyś tego później nie żałował — zgodził się niechętnie Szymański. — I żebyś ty też nie żałował — pogroził Zychowi. — A teraz idź, detektywie, na przystanek i wydedukuj, o której godzinie odjechała stąd siostra Krajewskiego. Dam ci jedną cenną informację: mogła mieć ze sobą dwie walizki i dlatego widziała ją pewnie cała wieś.

Kiedy Zych, mocno speszony docinkami swojego przełożonego, wyszedł, Szymański próbował nakłonić kapitana do zmiany decyzji.

— Zrozum, chłopie, myśmy tu jeszcze żadnej większej sprawy nie mieli. Praktyki nie mamy...

— To jej nabędziecie — przerwał mu Naziołek. — A ten chłopak bardzo mi się podoba. Będą z niego jeszcze ludzie. I coś czuję, że ci go bardzo szybko zabiorą do Lublina. Macie adres Krajewskiej?

— Nie, ale wy ją szybko znajdziecie. Zostawiam cię tu na gospodarstwie, a jutro czekam na raporty. Będę się dziś modlił, żeby to był tylko nieszczęśliwy wypadek. Ale nie za siebie, za ciebie.

— Jesteś ostrożny aż do przesady.

— Życie mnie tego nauczyło.

— Przecież widzisz, że sam tu przyjechałem i chyba wiesz, co to znaczy. Nie ma ludzi. Zaraz moi chłopcy zrobią to, co trzeba zrobić, opracują ci szybko wyniki i jeśli to nieszczęśliwy wypadek, dasz sobie radę. Wygląda na wypadek. Jeżeli jednak będę miał wątpliwości, powiesz swojemu Zychowi, że zmieniłem zdanie.

Po powrocie do komendy Szymański zadzwonił do apteki. Zdziwił się, kiedy usłyszał, że Nowacka nie stawiła się do pracy. Dowiedział się przy tej okazji, że kierownika apteki też nie ma. Sprzątaczka poszła rano do drugiej farmaceutki — Cichockiej — i powiedziała, że trzeba w końcu otworzyć aptekę. Cichocka była już w zasadzie na emeryturze, a że do Piasków młodzi ludzie po studiach niezbyt chętnie przyjeżdżają, to i pracowała jeszcze na pół etatu. Zadzwoniła do kierownika apteki, ale nikt w domu nie odbierał telefonu. Po drodze wstąpiła do Nowackiej, drzwi były jednak zamknięte. Poszła więc do apteki i właśnie zastanawiała się, co ma dalej robić. Ani Nowackiej, ani też kierownikowi apteki nie zdarzało się bowiem takie lekceważenie pracy. Nie chciała jednak wpadać w panikę ani też robić krzywdy Nowackiej, o której przecież nie mówiło się dobrze w tym mieście.

Zadzwonił więc Szymański do fabryki. Kilkanaście minut później do jego pokoju wszedł inżynier Nowacki. Był blady i roztrzęsiony, roztrzęsiony dosłownie, bo nie mógł opanować drżenia rąk ani nerwowego mrugania powiekami.

— Na pewno nie żyje? — spytał zaraz w progu, a z jego miny wynikało, że jeszcze nie wierzy w słowa komendanta.

— Nie żyje. Gdzie jest pana żona? W aptece jej nie ma.

— Nie wiem, naprawdę nie wiem — rozłożył ręce. — Widziałem ją ostatni raz u Krajewskiego. Do domu wróciłem dopiero o piątej nad ranem, nie było jej.

— A po co pojechaliście do Krajewskiego?

— To ona chciała tam jechać, nie ja. Miała jakiś interes. Wie pan, my w zasadzie jesteśmy już na etapie rozwodu. Parę dni temu poprosiła mnie, żebym wybrał się razem z nią do Krajewskiego. Bardzo jej na tym zależało. Jak nigdy. Zawsze wolała sama odwiedzać swoich znajomych i chyba stąd te wszystkie plotki w mieście. Ale tym razem uparła się i chciała jechać ze mną. Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że właśnie tego dnia będzie u nas minister. Gdybym nie opuszczał fabryki... Boże święty, po co ja tam pojechałem?

— Dlaczego pan się tak denerwuje?

— Jak to dlaczego? — zdziwił się Nowacki. — Przecież teraz będziemy z żoną wmieszani w tę sprawę. Pan wie, co ludzie zaczną o nas mówić? Na pewno będę musiał się stąd wynieść, na pewno. Nie dam już rady...

— Ależ panie inżynierze, jaka to sprawa? Nieszczęśliwy wypadek...

Nowacki zastygł oniemiały. Był tak zdumiony, że nawet przestał nerwowo mrugać powiekami.

— Pan myślał, że to zabójstwo? — w głosie Szymańskiego czuło się i kpinę, i podejrzliwość.

— No przecież wczoraj był pełen życia... Sam śmiał się z siebie mówiąc, że nikt go nigdy jeszcze nie napadł ani też nie okradł, bo oprócz tych staroci nic nie ma. Nie bał się złodziei, a to mnie zdziwiło, bo na jego miejscu na pewno bym się bał.

— Kto jeszcze był wtedy w domu?

— Gospodyni i jego siostra. Siostry nie widziałem. Krajewski, pokazując nam swój dom, powiedział tylko tyle, że pokój narożny zajmuje chwilowo siostra, która właśnie przygotowuje się do wyjazdu do Lublina.

— A słyszał pan jakieś szmery za tymi drzwiami?

— Nie, ale też i specjalnie nie nasłuchiwałem. Byłem zdenerwowany kolejną kłótnią z żoną, spieszyłem się do fabryki, w ogóle to był fatalny dla mnie dzień — zakończył cienkim dyszkantem i sięgnął dla uspokojenia po papierosa. Ręce mu jednak tak drżały, że złamał parę zapałek, zanim w końcu zapalił.

Szymański przyglądał mu się z uwagą. Znał inżyniera raczej tylko z widzenia. Wiele dobrego o nim słyszał, uważał go za człowieka opanowanego, rzeczowego, może za aż nazbyt konkretnego. Z niepokojem więc teraz go obserwował. Bo przecież wiadomość o śmierci Krajewskiego nie powinna tak mocno nim wstrząsnąć. Nie był to ani jego krewny, ani nawet bliski znajomy.

— Od jak dawna zna pan Krajewskiego?

— Od wczoraj. To znaczy słyszałem o nim, zresztą kto o nim w tym mieście nie słyszał. Widziałem go wiele razy na ulicy, ale dopiero wczoraj pierwszy raz z nim rozmawiałem. Myślałem, że ludzie z czystej zazdrości nazywają go „hrabią", ale coś w tej złośliwości było. W każdym razie nie zrobił na mnie dobrego wrażenia. Był zbyt pewny siebie, a ja akurat nie lubię takich ludzi.

— Więc pożegnał się pan z żoną u Krajewskiego i wrócił do domu dopiero o piątej nad ranem, tak?

— Tak, ale zaraz, żeby nie było żadnych nieporozumień. Otóż, jak już mówiłem, wczoraj była u nas wizytacja z Warszawy. Nie zdążyłem się więc uporać z bardzo pilną dokumentacją, która musiała być gotowa, choćby się miało palić i walić. Z tego też powodu tak szybko wyszedłem z domu Krajewskiego. I gdzieś około dziesiątej zorientowałem się, że część wcześniej zrobionych notatek zostawiłem w domu. Pojechałem więc po nie, żony jeszcze nie było, ale nie zdziwiłem się tym faktem, ponieważ dość często wracała do domu około północy. Przeszukałem całe mieszkanie i tych papierów nie znalazłem. Myślałem, że ze złości oszaleję. Mieszkamy w kawalerce i żona ma okropny zwyczaj porządkowania, które polega na chowaniu w najdziwniejszych miejscach najbardziej mi akurat potrzebnych rzeczy. A ponieważ bez tych notatek nie mógłbym do rana zakończyć dokumentacji, to i cierpliwie szukałem. Wreszcie się poddałem i wróciłem do fabryki. Okazało się, że były w moim pokoju na dnie szuflady. I potem już dopiero o piątej nad ranem opuściłem fabrykę.

— Pan sam robił tę dokumentację?

— Tak, ale wiem, o czym pan teraz myśli. Robiłem sam, lecz w sekretariacie bez przerwy siedziała maszynistka przepisująca dokumenty. Alibi więc mam.

— No, jeśli już zdecydował się pan naszą rozmowę sprowadzić na te tory, to nie powinien pan być tak pewny swojego alibi. Przecież był pan przez dłuższy czas w swoim mieszkaniu i chyba bez świadków.

Nowacki sięgnął po kolejnego papierosa.

— Rzeczywiście, nie pomyślałem o tym. Ale maszynistka zaświadczy, że szukałem tych notatek i że właśnie po nie pojechałem do domu.

— Wyjechał pan około dziesiątej, a o której wrócił?

— To pamiętam dokładnie. Było w pół do jedenastej. Pamiętam dlatego, że obliczałem czas i możliwości odtworzenia z pamięci tamtych notatek.

— Przed chwilą mówił pan, że szukanie notatek zabrało panu dużo czasu.

— Pół godziny to mało? Jeśli weźmie pan pod uwagę, panie poruczniku, że była to bardzo pilna robota, to w takim układzie pół godziny jest wielką stratą czasu.

— Oczywiście nie domyśla się pan, gdzie mamy szukać żony?

— Niestety, nie. Nie znam jej wszystkich znajomych. Często jeździła do Lublina, może i tym razem wpadła do swoich koleżanek. Ale powinna zadzwonić do apteki, jeśli coś jej przeszkodziło w powrocie.

— Dlaczego nie pojechała swoim samochodem, jak pan myśli?

Nowacki zdziwił się.

— Nie rozumiem pytania. Jak to?

— No, wasza syrena stoi dalej koło domu Krajewskiego.

Zbladł silnie i zamilkł. Dopiero po dłuższej chwili wyszeptał sam do siebie:

— Niemożliwe... Dlaczego?

— Sprawdzimy. Ma pan kluczyki zapasowe?

— Mam, nawet przy sobie, proszę — podał Szymańskiemu skórzane etui.

— To na razie byłoby tyle, panie inżynierze. I niech się pan przestanie tak denerwować, naprawdę nie ma powodu.

— Dla pana może nie ma, ale dla mnie jest — stwierdził pesymistycznie Nowacki i wyszedł.

Zaraz po jego wyjściu Szymański znowu zadzwonił do fabryki. Po paru minutach znał nazwisko maszynistki, która pracowała razem

z inżynierem tej nocy. Wysłał do jej domu milicjanta i po godzinie starsza już kobieta stawiła się w komendzie.

Była bardzo zdziwiona wezwaniem. Potwierdziła wszystko, co zeznał Nowacki. Przyszła do fabryki o siódmej, inżynier przyjechał niedługo potem i od razu zabrał się do roboty. Siedziała przez ten czas w pokoju sekretarki, przez który trzeba przejść, jeśli wychodzi się z pokoju inżyniera. A inżynier wyszedł tylko raz, po jakieś notatki, które zostawił w domu. Miała wiele do przepisywania, praca w nocy bardzo ją męczy, więc nawet się ucieszyła, kiedy inżynier wyszedł. Mogła wreszcie trochę odpocząć. Gdyby przy nim przestała pisać choć na pięć minut, na pewno zaraz by wybiegł z gabinetu i zaczął ostro popędzać. Nie lubiła pracować z inżynierem Nowackim.

— Na pewno jest to dobry fachowiec, panie komendancie — stwierdziła na koniec — ale jako człowiek jest zbyt wymagający. Aż nieludzki. Despotyczny, niemiły, choć nie powiem, żeby się unosił i krzyczał na pracowników. Ale niemiły. Nigdy nie bierze pod uwagę takich spraw jak to, że człowieka może boleć głowa, ma kłopoty, jest przemęczony. Dawał robotę i trzeba było oddać ją zawsze na czas. Jak się raz spóźniłam, to chciałam najpierw złożyć wymówienie, a dopiero potem iść do niego z tą pracą. Koleżanki powiedziały mi jednak, żebym takich głupstw nie robiła, a jedna z nich poszła za mnie z maszynopisem. I skończyło się to jej zwolnieniem. Nie dlatego, że usiłowała mnie bronić, lecz dlatego, że zabrała się za nie swoje sprawy, czyli robiła niezdrową atmosferę. Nie miałam wtedy odwagi powiedzieć mu, że niezdrową atmosferę to właśnie on robi. Namówiłyśmy prawie cały personel administracyjny i złożyliśmy skargę do związków zawodowych. Dziewczyna przecież zupełnie bez powodu straciła pracę. Owszem, było zebranie, ale naczelny dyrektor powiedział, że porządek w fabryce musi być, a ta maszynistka zamiast urządzać teatralne obrony winnych pracowników powinna lepiej wykonywać swoją pracę. A że rzeczywiście nie była idealna, to i nie można było jej obronić.

— Wychodziła pani w tym czasie z fabryki?

— Skądże. Nawet z pokoju nie wychodziłam. Nie wiedziałam przecież, kiedy on wróci. Zrobiłam sobie herbatę, wypiłam, zjadłam kanapki, przeczytałam „Przyjaciółkę”, pochodziłam trochę po pokoju i tylko nasłuchiwałam jego kroków. A kiedy usłyszałam, że już wraca, szybko siadłam do maszyny i zaczęłam pisać.

— Nie mówił pani nic o żonie?

— Panie komendancie — kobieta była ogromnie zdumiona — to pan nic nie wie?

— A co mam wiedzieć?

— No, przecież jego żona to straszna latawica. Nikt nigdy przy nim nie mówił o żonie, a i on na pewno wstydził się jej. Co pan myśli? W Piaskach ukryłoby się coś przed ludzkimi oczami? A on głupi jest i już. Może nie powinnam tak szczerze mówić tu z panem, ale wszyscy twierdzą, że jest głupi. Każdy inny na jego miejscu dawno by się już rozwiódł albo przeniósł do innego miasta. Pan wie, że ona przerywała ciążę, boby miała dziecko z innym mężczyzną?

— A skąd pani o tym wie?

— Całe Piaski wiedzą, a pan nie wie — zdumiała się. — Zamiast pójść do lekarza prywatnie, po cichu, to ta bezwstydnica poszła na zabieg do szpitala. Naszego szpitala. Lekarz nie musi mówić, ale salowa też wie, na co kto choruje. Pielęgniarki też wiedzą, a wszystkim nie można zamknąć ust. Taka bezwstydnica.

— Ludzie, jacy wy potraficie być straszni! — wyrwało się bezwiednie Szymańskiemu, a maszynistka aż otworzyła ze zdumienia usta. Bo i nie mogła pojąć, o co komendantowi teraz chodzi.

— No nic, niech już pani wraca do domu. I zabraniam pani, to nie są żarty, lecz polecenie milicjanta, mówić komukolwiek, że była pani do nas wzywana.

— A o co chodzi? On coś strasznego zrobił?

Szymański spojrzał na nią z niechęcią. Starsza już, z wyglądu dość nawet miła kobieta, była klinicznym wręcz okazem członkini miejscowej armii plotkarek. Wiedział, że nie może jej niczego zabronić, ale też i nie chciał dawać nowego powodu do plotek.

— Droga pani, jeśli się dowiem, że wymyśliła sobie pani jakąś krwawą historię, w której uczestniczył inżynier Nowacki, z urzędu oddam sprawę na kolegium albo osobiście skłonię inżyniera, żeby sam to zrobił.

— To co mam powiedzieć w domu? Przecież wszyscy widzieli, że przyszedł po mnie milicjant, widzieli mnie też przed komendą. I co teraz ludzie będą o mnie mówić, jak im nie powiem, że to o inżyniera Nowackiego chodziło?

— A skąd pani wie, że o Nowackiego, a nie o panią?

— O mnie? — spytała i aż zakrztusiła się z wrażenia.

— No właśnie, lepiej będzie, jeśli zajmie się pani swoją pracą, a nie naszą.

Wyszła potulnie z pokoju, a Szymański był pewny, że tym razem uciął plotkę w zarodku.

Przywołał Zycha, który już parę razy zaglądał do pokoju, lecz widząc, że przeszkadza, znikał bez słowa.

— Siostra Krajewskiego wyjechała punkt o szóstej. Autobus lubelski. Widziało ją parę osób.

— Syrena jeszcze tam stoi?

— Oczywiście.

— To jedź teraz po nią i przyholuj tu. Niech ktoś sprawdzi, co popsuło się w samochodzie i traktuj ten samochód jako jeszcze jeden dowód.

— Zdjąć ślady? — zdziwił się niezmiernie Zych.

— Nie, opony — zakpił Szymański.

— Adamczykowa siedzi w korytarzu. Kapitan Naziołek kazał jej się tu zgłosić.

— To niech wejdzie. A ty — zwrócił się do protokolanta siedzącego cicho w rogu pokoju — przesuń sobie biurko do okna. Chcę się od niej dowiedzieć czegoś ważnego, a boję się, że przy świadkach będzie się wypierała.

— To może wyjdę na ten czas? — odezwał się prawie szeptem młody milicjant.

Szymański uśmiechnął się tylko i pokręcił głową. Lubił Wacka, który pracował w Piaskach dopiero od roku. Chłopak sprawiał wrażenie nieśmiałego, wręcz zahukanego, ale był to bardzo inteligentny pracownik. Milczek, lecz kiedy już się odezwał, mówił bardzo wolno i prawie szeptem. Za to bardzo szybko myślał i z nieprawdopodobną intuicją kojarzył fakty. Byłby zapewne doskonałym matematykiem albo fizykiem, ale pochodził z tak licznej rodziny, żyjącej w dodatku tylko z czterech hektarów, że jako najstarszy syn musiał zacząć wcześnie zarabiać.

Adamczykowa była już spokojna. Odświętnie ubrana, starannie uczesana, sprawiała wrażenie kobiety eleganckiej. Odpowiadała płynnie, bez namysłu i bez wahania. Dopiero przy końcu przesłuchania Szymański zdecydował się zadać jej to pytanie.

— Proszę mnie źle nie zrozumieć — zaczął oględnie — nie jest to rozmowa, tylko milicyjne przesłuchanie. I muszę pewną rzecz wyjaśnić.

Adamczykowa poczerwieniała silnie.

— Niech pan nie pyta — przerwała mu ostro. — To jest prawda. I to jest moja osobista sprawa.

Odetchnął z ulgą i poczuł do niej wdzięczność. Czuł się niezręcznie, kiedy przychodziło mu pytać o takie szczegóły przesłuchiwanych. Tym razem musiał jednak ten fakt ustalić.

Pożegnał Adamczykową i pomyślał o obiedzie. Wyszedł z domu bardzo wcześnie, prawie w biegu zjadł bułkę z mortadelą, a teraz poczuł dotkliwy ból w żołądku. Lekarz ostrzegał go, że od nadkwasoty do wrzodu żołądka jest tylko krok, a wrzód — to już prawie inwalidztwo. Po każdej wizycie u lekarza przez parę dni przestrzegał diety, a kiedy tylko ból ustępował, o wszystkim zapominał. Miał właśnie zamiar wyjść na pół godziny do domu, kiedy zadzwoniono z Lublina. Siostra Krajewskiego wyjechała. Sąsiadka widziała ją rano. Myślała, że Krajewska dopiero co przyjechała, ale z krótkiej rozmowy domyśliła się, że właśnie wyjeżdża. Krajewska nie powiedziała, gdzie jedzie. Poprosiła tylko, żeby sąsiadka uważała na jej mieszkanie.

Był już w drodze do domu, kiedy dogonił go Zych.

— Komendancie, dzwonią z Lublina. Mają pierwsze informacje z sekcji zwłok. Kapitan Naziołek powiedział, że to pilne.

Stanął niezdecydowany. Żołądek upominał się ostro o swoje, ale nie mógłby zjeść spokojnie obiadu, wiedząc o tym telefonie. Zawrócił więc i szedł tak szybko, że młodszy o przeszło dwadzieścia lat Zych musiał prawie biec.

Naziołek czekał jeszcze przy telefonie. Przed chwilą właśnie dostał wstępne, ale bardzo interesujące informacje. Krajewski był chory na raka. Przeszedł niedawno operację żołądka, zapewne z powodu nowotworu, a nie wrzodu. Przerzuty nowotworowe były jeszcze niewielkie, lecz lekarz sądowy stwierdził, że gdyby nie zdarzył się nieszczęśliwy wypadek, Krajewski i tak nie żyłby długo. Najwyżej pół roku. Bezpośrednią przyczyną śmierci był upadek na kant kwadratowego stołu, którego rogi wzmocnione były mosiężnymi ornamentami o dość ostrej krawędzi. Lekarz nie wykluczał najbardziej prawdopodobnej możliwości — Krajewski potknął się o coś, może nawet o fałdę dywanu, stracił równowagę i z dużym impetem upadł na stolik. Nie wykluczał jednak i drugiej możliwości — ktoś go popchnął, wskutek czego Krajewski upadł i umarł natychmiast. Przybliżony czas zgonu oraz dalsze informacje są w toku opracowywania.

— Góra zrodziła mysz i bardzo dobrze, że tylko mysz — stwierdził z ulgą Szymański. Nieszczęśliwy wypadek to jednak nie to samo, co zabójstwo, choćby nawet nieumyślne. Poza tym śmierć Krajewskiego w świetle informacji lekarza sądowego nie robiła już tak przygnębiającego wrażenia.

— No to, chłopie — zwrócił się do Zycha — ja pójdę na obiad, bo jeszcze skończę jak Krajewski. Czort wie, czy już nie mam czegoś okropnego na żołądku. Boli czasem tak ostro, że aż mi się niewyraźnie robi. Za pół godziny będę z powrotem.

Już szedł do drzwi, kiedy zadzwonił telefon.

— Trzeci raz wychodzę na obiad i coś czuję, że dziś nie dojdę — mruknął pod nosem ze złością.

Dzwoniła Cichocka z apteki. Prawie nic nie zrozumiał z jej urywanych zdań.

— Kto nie żyje?! — ryknął prawie w słuchawkę.

— Kierownik, nasz kierownik.

— Skąd pani wie?

— Dzwoniła jego siostra z Lublina. Zabił się wczoraj koło Świdnika. Miał wypadek. Z samochodu podobno nic nie zostało. Wpadł na ciężarówkę.

— Chwileczkę, chwileczkę, niech pani się uspokoi — poprosił Szymański, bo sam chciał się uspokoić.

Może jest to tylko zbieg okoliczności, ale za dużo tych zbiegów! — pomyślał zdenerwowany. — Tu trup, tam trup, a co się stało z Nowacką?

— Kierownik jechał sam?

— Ja też o to spytałam siostrę kierownika, bo przecież pani Nowackiej również nie ma w pracy. Ale siostra nic nie wie. Jest zrozpaczona, cały czas płakała, dowiedziałam się tylko tyle, że nie żyje, a taki był jeszcze młody, Boże mój, po co ludzie kupują sobie samochody... — i Cichocka rozpłakała się w głos.

Odłożył słuchawkę zasępiony.

Jeżeli Nowacka jechała razem z kierownikiem do Lublina, to mogła również zginąć w wypadku — pomyślał, mając jednocześnie nadzieję, że dziewczyna zaszyła się u jakiejś koleżanki, może nawet specjalnie na złość mężowi. — Jeżeli jednak Nowacka była w samochodzie? A może to tylko zbieg okoliczności?

— Słuchaj, Zych — zwrócił się do sierżanta — poślij jakiegoś chłopaka do mojej żony. Niech mi przyniesie choćby w słoiku trochę zupy. Muszę coś zjeść i to zaraz, a trzeba sprawdzić, co się stało z Nowacką.

Zadzwonił do Lublina i z niepokojem oczekiwał wiadomości. W niespełna dwadzieścia minut otrzymał odpowiedź. Nowacka jest w szpitalu, nieprzytomna, stan ciężki. Jechała razem z kierownikiem i cudem uniknęła śmierci, ale niewykluczone, że tylko na razie. Lekarze dają jej małe szanse. Złamana podstawa czaszki i dwa żebra, rozległe potłuczenia. Jeśli wyżyje, odzyska przytomność nie wcześniej, jak dopiero za parę dni, a może i za tydzień albo jeszcze później.

III

Po tygodniu Szymański mógł już sprawę zamknąć. Dawała mu do tego prawo teczka z dokumentami przysłanymi z Lublina. Krajewski był ciężko chory. W maju tego roku przebył operację, podczas której usunięto mu złośliwy guz nowotworowy. Operujący go chirurg poinformował wówczas Krajewskiego, że w najlepszym razie ma przed sobą parę lat życia, a w najgorszym — w razie szybkich przerzutów — tylko parę miesięcy albo i mniej. Podczas sekcji przerzuty były już widoczne. Krajewski mógł się jeszcze czuć względnie dobrze, ale — zdaniem lekarza sądowego — miał przed sobą tylko parę miesięcy. Mógł krytycznego dnia dostać nagłych boleści, może był nawet bliski utraty przytomności, zachwiał się, upadł na stolik i natychmiast zmarł. Wylew krwi do mózgu. Śmierć nastąpiła między dziesiątą a jedenastą w nocy.

Nowacka w tym czasie leżała już nieprzytomna w szpitalu. Nowacki był w fabryce, oboje zresztą nie mieli żadnych motywów zabójstwa. Nowacki rozmawiał bowiem dopiero pierwszy raz z Krajewskim i — jak potwierdziła gospodyni — był po raz pierwszy w tym domu. Nowacka natomiast bywała często u Krajewskiego, lecz gdyby nawet miała motywy, nie mogła popchnąć go na stolik.

Adamczykowa wskutek śmierci Krajewskiego straciła dobrze płatną pracę. Ludzie mieszkający w najbliższej okolicy mówili, że straciła nie tylko pracę, ale i kochanka.

Plotki i fakty przemawiały jednak na jej korzyść. Nic bowiem nie zyskiwała na śmierci chlebodawcy. Dom, ogród i wszystko to, co

stanowiło własność Krajewskiego, miało teraz przejść na własność jedynej spadkobierczyni — siostry Krajewskiego. I tylko siostra mogła być zainteresowana szybką śmiercią brata. Nie musiała jednak decydować się na zabójstwo. Wiedziała bowiem, że brat jest chory na raka. Informację tę uzyskała od chirurga operującego Krajewskiego.

Włamania nie było, napadu nie było, nikt nie próbował Krajewskiego otruć, nikt z nim nie walczył.

Mimo tych oczywistych faktów Szymański nie spieszył się z zamknięciem dochodzenia. Adamczykowa miała alibi — mąż potwierdził, iż kilkanaście minut po dziesiątej była już w domu. Widzieli ją też inni ludzie, kiedy wracała do domu. W starym dworku został tylko Krajewski i jego siostra. Dom stoi na uboczu, jeśli więc doszło ponownie do kłótni między rodzeństwem, najbliżsi sąsiedzi i tak by jej nie słyszeli. Jeżeli zaś Krajewski, nie bacząc na obecność w domu Adamczykowej, pozwolił sobie na głośną kłótnię z siostrą, to w nocy, kiedy byli już sami, mogło dojść już do regularnej awantury, podczas której może nawet nieumyślnie siostra popchnęła brata.

Dlatego właśnie komendant Szymański nie odłożył jeszcze teczki z aktami i czekał na przyjazd Ewy Krajewskiej. Odnaleziono ją w Gdańsku i dziś właśnie o godzinie dwunastej miała stawić się w komendzie.

Przyszła wcześniej. Drobna, ubrana z niezwykłą starannością i uderzająco podobna do brata. Była spokojna, ale był to spokój sztuczny.

— Mam sama mówić, czy pan będzie mi zadawać pytania? — przystąpiła od razu do rzeczy.

Szymański zdziwił się nie tyle pytaniem, co głosem kobiety. Ostrym, a nawet wyzywającym. Tak mówią zwykle despotki albo zmęczone znienawidzoną pracą stare nauczycielki.

— Jak pani woli?

— Myślę, że pan woli zadawać pytania — odrzekła wyniosłym tonem.

— W takim razie proszę mi powiedzieć, o co pokłóciliście się ostatniego dnia?

Starannie umalowane usta lekko drgnęły i w chwilę potem twarz Krajewskiej wyrażała pełną pogardę.

— Podziwiam was — głos nadal miała wyniosły. — Trzeba być bardzo gruboskórnym, żeby grzebać się w takich fekaliach, w dodatku w cudzych.

Szymański poczuł silne ukłucie w żołądku.

— Mnie nie interesuje pani zdanie na temat mojego zawodu — starał się mówić spokojnie, ale czuł rosnącą w nim złość. — Więc o co pokłóciliście się?

— O nic.

— Gospodyni pani brata...

— Gospodyni mego brata — przerwała mu ostro — jest prostytutką. Nie pochwaliła wam się?

— Czyżbyście się o to pokłócili?

— Ja się nie kłóciłam i niechże pan wreszcie przestanie używać tego słowa! Ja się nie kłócę jak przekupa. Po prostu uważałam, że przed wyjazdem powinnam mu to powiedzieć. W końcu w tej okolicy mieszkają jeszcze ludzie, którzy pamiętają naszych rodziców i którzy byli u nas parobkami. Gdyby nic się nie zmieniło, mój brat na pewno nie pozwoliłby sobie na tak jawne i ohydne ekscesy z wiejską babą.

— Pani Adamczykowa — Szymański specjalnie podkreślił słowo „pani" — mówiła, że kłóciliście się nie o nią, lecz o to, że zbyt długo przebywała pani w domu brata.

Poczerwieniała i straciła swoją wyniosłość.

— Mogłam przypuszczać, że będzie podsłuchiwać — rzuciła ze złością.

— I nie myli się pani — zaryzykował. — Obawiała się pani, że dom dostanie się komu innemu?

— Nie widziałam żadnego powodu, żeby akurat teraz miał go sprzedawać.

— Krajewski chciał sprzedać swój dom? — zdziwił się nieostrożnie Szymański, a kobieta zakryła sobie usta ręką. Było jednak już za późno, by cofnąć wypowiedziane przed chwilą zdanie.

— Kto miał go kupić?

— Pani Nowacka.

Po raz drugi Szymański był ogromnie zaskoczony. Sprawa śmierci Krajewskiego nabierała w świetle tych nowych faktów zupełnie innych wymiarów. Nowacka nadal była nieprzytomna, ale Nowacki nie wspomniał o kupnie domu ani jednego słowa. Dlaczego? Czyżby posiadali nielegalnie zdobyte pieniądze? Pieniądze w dodatku ogromne?

— Więc teraz proszę wszystko po kolei i bardzo szczegółowo opowiedzieć — zażądał tak kategorycznym tonem, że Krajewska natychmiast zapomniała o swoim szczególnym pochodzeniu.

— Przyjechałam do brata ze względu na jego chorobę. Ukrył przede mną tę straszną wiadomość. Zupełnie przypadkowo dowiedziałam się,

że leży w lubelskim szpitalu. Mam tam znajomego lekarza. Poszłam do niego, on zaś skontaktował mnie z chirurgiem, który operował brata, a że byłam jedyną krewną, to i zostałam o stanie zdrowia mego brata poinformowana.

— Czy brat pani wiedział o wizycie u chirurga?

— Nie. Nie chciałam i nie mogłam mu o tym powiedzieć. Jeśli wolał ukrywać swoją chorobę, nie mogłam mu się narzucać z bezsensowną w takiej sytuacji pomocą. Przyjechałam, ponieważ wiedziałam, że za parę miesięcy może dojść do gwałtownego pogorszenia stanu zdrowia. Brat czuł się jednak znakomicie i z każdym dniem wydawał się zdrowszy. Zapragnął ostatnie miesiące życia spędzić w podróży po świecie i dlatego chciał sprzedać dom. Zaproponowałam mu pieniądze, jakie mogłam uzyskać ze sprzedaży mojego mieszkania w Lublinie. Wystarczyłoby mu na koszty podróży. Mamy wielu znajomych, a nawet kuzynów za granicą, którzy na pewno przyjmowaliby go z otwartymi rękoma. I właśnie dlatego nie widziałam powodu do sprzedaży naszego rodzinnego domu, naszych rodzinnych pamiątek. Usiłowałam mu to wytłumaczyć i, niestety, tylko go zdenerwowałam. Nawet wtedy, kiedy zaczął na mnie krzyczeć, nie mogłam mu powiedzieć, że nie zdąży wydać tych wszystkich pieniędzy, że zostało mu już naprawdę niewiele czasu. Sądzę, że on nie wierzył w swoją chorobę. Może myślał, że ma przed sobą lata, a nie miesiące.

Ta przykra i gwałtowna rozmowa tak fatalnie podziałała na moje samopoczucie, że jeszcze tego samego dnia chciałam wyjechać do Lublina. Tego samego dnia, ponieważ uznałam, że właśnie wtedy straciłam brata już na zawsze. Zaczęłam przygotowywać się do wyjazdu, ale czułam się tak źle, że zażyłam środek uspokajający, położyłam się tylko na chwilę, a obudziłam się dopiero nad ranem. Szybko spakowałam walizki i poszłam na przystanek autobusowy.

— Nie zaglądała pani do pokoju brata?

— Nie widziałam potrzeby. To, co mieliśmy sobie do powiedzenia, powiedzieliśmy już poprzedniego dnia. Kiedy byłam w korytarzu, zobaczyłam, że drzwi do salonu są lekko uchylone, a światło nie jest zgaszone. Myślałam, że nad czymś pracuje. Miałam nadzieję, że sam wyjdzie do mnie i pożegna się. Nie wiedziałam, że już nie żyje.

Szymański poczuł silne bicie serca.

Nie — myślał gorączkowo — to niemożliwe. Ktoś musiał jej powiedzieć. Przecież nie zeznawałaby tak bez zastanowienia się. Ale jeszcze wczoraj była w Gdańsku i, teoretycznie rzecz biorąc, nie wiedziała o śmierci brata. Milicja gdańska poinformowała ją, że w związku ze śmiercią brata musi się następnego dnia stawić w Komendzie Miejskiej MO w Piaskach. Na pewno dopiero co przyjechała z Lublina, skąd wie, że brat już nad ranem nie żył? I skąd wie, że stało się to właśnie w salonie?

— Pani jechała z Gdańska przez Warszawę, czy tym osobowym, który pół Polski objeżdża? — zapytał niby tylko ot tak sobie, ale zauważył, że Krajewska sprężyła się.

— A co to ma do sprawy?

— Może nic, ale chciałbym wiedzieć.

Patrzyła podejrzliwie, wstrzymując się z odpowiedzią.

— No więc? — ponaglił zniecierpliwionym tonem.

— Osobowym, ponieważ...

— A to mnie już nie interesuje — przerwał jej stanowczo. — Była więc pani w Lublinie około godziny dziewiątej rano. Pojechała pani do domu, czy od razu na dworzec PKS?

— Do domu, oczywiście że do domu. Autobus do Piasków miałam o jedenastej, więc...

— Więc była pani tu mniej więcej o wpół do dwunastej. Do komendy przyszła pani za dziesięć dwunasta, choć mogła tu pani być już po pięciu minutach. Chciałbym wiedzieć, co pani przez te dwadzieścia minut robiła.

— Czy panu się czasem nie wydaje, że to ja zamordowałam brata? — głos Krajewskiej był kpiący, a na twarzy znowu malowała się pogarda.

Szymański zacisnął pięści. Wiedział, że w każdej chwili może narzucić bardzo przykry dla niej sposób przesłuchiwania, podczas którego pani Krajewska byłaby tylko obywatelką Krajewską, a on nie musiałby zważać na ton głosu, na gesty i miny. Ale im bardziej Krajewska stawała się denerwująca, tym bardziej zależało mu na utrzymaniu przesłuchania w formie swobodnej rozmowy. Przeczuwał, dałby sobie nawet głowę uciąć, że Krajewska specjalnie prowokuje go, że czeka, aż wyjdzie z niego „policyjna dusza". Ale Krajewska nie była pierwszą osobą w jego długoletniej służbie, która wytrącała go z równowagi.

— Więc co pani robiła przez dwadzieścia minut? — powtórzył pytanie tak, jakby w ogóle nie słyszał tego, co powiedziała przed chwilą.

Westchnęła głęboko, usiadła wygodnie na

krześle i kpiącym tonem zaczęła opisywać swój spacer z przystanku PKS do komendy.

— Więc nie zdążyła pani spotkać się z Adamczykową?

— Ta osoba dla mnie nie istnieje. W ogóle.

— I z nikim pani nie rozmawiała?

— Zazwyczaj to ja wybieram sobie rozmówców, a nie oni mnie — powiedziała wyniośle i naraz zamilkła.

— Już wie pani, o co teraz zapytam?

Zaniepokojona pokręciła głową.

— Skąd pani wie, że brat został zamordowany?

— To chyba logiczne — wzruszyła ramionami. — Wieczorem żył, a rano już nie.

— A skąd pani wie, że rano już nie żył?

— To też jest chyba bardzo logiczne. Jeśli ja wychodziłam z domu za dwadzieścia szósta, a w salonie paliło się światło, drzwi były uchylone, on nie wyszedł, by się ze mną pożegnać — to albo spał, albo już nie żył. Wczoraj jakiś milicjant w Gdańsku powiedział mi, że brat nie żyje i że od tygodnia mnie poszukują. Więc jasne, przynajmniej dla mnie, że umarł właśnie tamtego ranka, może nocy. I powinien umrzeć w salonie, ponieważ tam paliło się światło, a mój brat był zbyt oszczędny, by mógł sobie pozwolić na takie ewidentne marnotrawstwo. Poza tym kazano mi przyjść do komendy MO, a nie do grabarza. Gdyby umarł zwyczajnie, nie mielibyście powodu mnie tu wzywać.

Szymański słuchał jej uważnie i nie wierzył w ani jedno słowo. Mógłby w tej chwili założyć się o milion złotych, że Krajewska widziała zmarłego brata. Może nie ona popchnęła go ku śmierci, ale na pewno widziała. Nie miał jednak na to żadnego dowodu, a argumentacja kobiety była, co tu ukrywać, logiczna.

— Czy państwo Nowaccy przyjechali tamtego dnia w sprawie kupna domu? — spytał znienacka.

— Myślę, że tak — odpowiedziała jakby z wahaniem.

— Kiedy mieli sporządzić umowę?

— Tego to ja już, niestety, nie wiem.

— I nie wie pani, za ile brat chciał sprzedać ten dom?

— Oczywiście że nie wiem, ale sądzę, że na pewno nie za mniejszą kwotę, jak milion lub półtora miliona złotych. To jest przecież bardzo piękny dom.

Szymański zostawił ją na chwilę z protokolantem, a sam wyszedł do sąsiedniego pokoju i zadzwonił do inżyniera Nowackiego. Kazał mu natychmiast zgłosić się do komendy. Zawołał Zycha i polecił mu zająć się Krajewską przez jakąś godzinę oraz wezwać Adamczykową.

Nowacki przyjechał rzeczywiście prawie natychmiast. Wszedł do pokoju z zapalonym papierosem, rozsiadł się nonszalancko na krześle, wyrzucając daleko w przód nogi, i dziwnie się uśmiechając zaczął narzekać na pracę w fabryce. Szymańskiego zaskoczyło zachowanie inżyniera i to tak bardzo, że dopiero po paru minutach zrozumiał przyczynę. Nowacki był pijany. Mówił dość wyraźnie, ale zupełnie od rzeczy i traktował komendanta niczym swego kumpla.

— Panie inżynierze — przerwał mu długą przemowę o marnej wydajności produkcji — kiedy mieliście kupić ten dom?

Nowacki popatrzył trochę mętnym wzrokiem na komendanta, po czym popukał się palcem w czoło.

— Ja miałem kupować dom, tak? He, he, to jest dobre. Ja miałem kupować dom! — krzyknął patetycznie. — A który, co? Może Pałac Kultury w Warszawie?

— Wiem, że mieliście kupić dom Krajewskiego.

Nowacki osłupiał. Z otwartymi szeroko ustami wpatrywał się w Szymańskiego i nie zauważył nawet, że papieros wypadł mu z ręki.

Szymański był nie mniej zdziwiony. Takiego osłupienia nie potrafiłby zagrać nawet doskonały aktor. Więc albo Krajewska skłamała, albo też Nowacki nic nie wiedział o tej sprawie.

— Po co pojechaliście tamtego dnia do Krajewskiego?

Nie odpowiedział. Nieruchomo wpatrywał się w Szymańskiego i wyglądał teraz na zupełnie trzeźwego. Dopiero po dłuższej chwili szepnął sam do siebie:

— To by się zgadzało...

— Po co tam pojechaliście? — powtórzył pytanie.

— Chyba po to, żebym obejrzał sobie ten dom, który Henryka chciała kupić, ale dopiero teraz się o tym dowiedziałem. Tak... Teraz to już wszystko się zgadza.

— Co mianowicie?

— Pewnie pan wie — Nowacki mówił już całkiem trzeźwym głosem, a i wzrok mu pojaśniał — że moja żona prowadziła dość ożywione życie towarzyskie. Nie miałem czasu na takie rozrywki, postawiłem na fabrykę, no i przegrałem. Ale moje kłopoty zawodowe chyba pana nie interesują.

Ona tu się piekielnie nudziła, chciała żyć tak samo, jak w Warszawie, a ja myślałem o swojej karierze. Powinniśmy się dawno rozstać, nie byłoby tych potwornych plotek i nieszczęść. Ale właśnie tamtego dnia bardzo jej zależało, bym razem z nią pojechał do Krajewskiego. Już nawet nie pamiętam, w jaki sposób mnie przekonała, roboty miałem sporo, ta przeklęta dokumentacja, a jeszcze i wizyta ministra... Pokłóciliśmy się po drodze. Zazwyczaj w takich przypadkach Henryka robi tak piekielną awanturę, że natychmiast każde z nas idzie w swoją stronę. A wtedy wyraźnie jej zależało, żebym w końcu dojechał do domu Krajewskiego. I teraz rozumiem, dlaczego Krajewski zaraz, prawie na początku naszej wizyty, oprowadził nas po swoim domu, zachwalając przy tym wręcz po kupiecku zalety kolejnych pokoi. Tylko za co, niech mi pan powie, za co ona chciała kupić ten dom? Przecież musiałaby mieć przynajmniej milion złotych, jeśli nie więcej. Za co? No, niech mi pan powie, za co? — już prawie krzyczał.

— Ja też bym chciał wiedzieć, za co. Może się dowiemy. Lekarze dają pańskiej żonie pewne szanse. Operacja powiodła się, stan zdrowia już się nie pogarsza, a to daje niejakie nadzieje. No cóż, więcej pytań już nie mam. Gdyby jednak przypomniał pan sobie coś, proszę natychmiast do mnie przyjść. I niechże pan nie pije — powiedział na pożegnanie. — To nic nie da. Pogorszy tylko pańską sytuację.

— Idź do Zycha — zwrócił się do protokolanta po wyjściu Nowackiego — i powiedz mu, żeby pożegnał naszą hrabiankę. Nie mam dziś do niej zdrowia.

Wacek wstał od biurka i zamiast do drzwi, podszedł blisko do Szymańskiego.

— Pan wie, że ona kłamała? — powiedział prawie szeptem.

— Oczywiście, że kłamała — kiwnął głową. — Ale nie mam żadnych dowodów. Powiedz, Wacek, ty jesteś przecież bardzo inteligentnym chłopakiem, a Krajewskiej też chyba nie można odmówić bystrości, czy ty byś kłamał podobnie?

Chłopak zaczerwienił się speszony nieoczekiwanym komplementem.

— Chyba tak, panie komendancie. Na pewno widziała zwłoki brata, więc jeśli sama go wieczorem nie popchnęła na ten stolik, to z jakiegoś innego, bardzo ważnego powodu nie chciała zawiadomić osobiście milicji. Wiedziała, że bardzo szybko ustali pan, o której wyszła z domu i o której pojechała do Lublina. Mogła jednak zgasić światło i zamknąć drzwi od tego pokoju. I zrobiłaby tak, gdyby sama go zabiła. A gdyby go niechcący popchnęła, wówczas też by szybko nas o tym wypadku zawiadomiła. Więc moim zdaniem, ale oczywiście nie mówię tego jako milicjant bo jakiż ze mnie milicjant, tylko mówię tak, jakbym to ja był Krajewską — to ona nie miała nic wspólnego ze śmiercią brata. Zostawiła wszystko w takim stanie, jak było i to chyba tylko po to, żeby milicja mogła bezbłędnie określić przyczyny wypadku bądź zabójstwa. Mogłaby spytać pana, w jaki sposób zmarł brat i w którym pokoju, ale byłoby to bardziej podejrzane. Wychodziła przecież z domu rano i powinna zauważyć uchylone drzwi, a za drzwiami światło. Dlatego mówiła tak, jak mówiła. I na pewno widziała zwłoki brata.

— Zobaczyła, co się stało i jak gdyby nigdy nic pojechała do Lublina, a stamtąd od razu do przyjaciółki do Gdańska. To też dowodzi, że nie miała nic wspólnego ze śmiercią brata — zgodził się z argumentacją Wacka Szymański. — Gdyby była winna, siedziałaby jak mysz w swoim mieszkaniu. Jest za inteligentna, żeby natychmiast znikać. Tylko powiedz mi, jasnowidzu, dlaczego nas nie zawiadomiła o śmierci brata? Z czystej zemsty? Z nienawiści? Już nie miała powodu, by go nienawidzić. Wszystko należało do niej.

— Myślę, panie komendancie...

— Zaraz, zaraz — przerwał mu Szymański — masz chyba to samo na myśli. Wcale nie wiadomo, jak z tym spadkiem jest. Wołaj Zycha, niech przyprowadzi tu Krajewską, a sam szybko zbierze wszystkie informacje w sprawie spadku.

Po chwili protokolant wrócił z Zychem.

— Gdzie Krajewska?

— Jest obok, zaraz ją tu przyprowadzę — wyjaśnił podnieconym tonem Zych i podał Szymańskiemu jakiś list. — Można go już czytać. Na liście były wspaniałe ślady, wręcz pokazowe, ale są zdjęte.

Zdumiony Szymański otworzył kopertę i wyjął kartkę kratkowanego papieru, na którym nieudolny autor anonimu poprzyklejał wycięte z gazety litery. Widok tej kartki rozbawił go, bo jakże pasował do mentalności tutejszych ludzi, oświecanych w zakresie kryminologii telewizyjnymi serialami. Treść kartki była jednak już mniej zabawna.

Krajewski morderstwo szukajcie niebieskiej nylonowej chustki.

Gdyby anonimowy autor napisał tylko o morderstwie, można byłoby wrzucić ten list do kosza. Anonimy z najbardziej wydumanymi informacjami nie były rzadkością w tej komendzie. Ale ten zawierał tak szczególną informację, że należało traktować go serio.

— Kiedy przyszedł ten list?

— Dwie godziny temu, tuż przed dwunastą. Bolek Majewski zajął się dziś korespondencją i jak tylko zobaczył, że to anonim, natychmiast przyszedł do mnie. Porównujemy teraz odciski. Najdalej za pół godziny będziemy znać autora.

— Dobrze, że rękawiczek sobie nie nałożył, bo wtedy musiałbyś się dłużej pomęczyć.

— E, nie, miał rękawiczki. Mordował się w tych rękawiczkach przy dziubdzianiu literek, a potem był już tak zachwycony swoją przebiegłością i tak zadowolony z efektu, że złożył kartkę; poszedł chyba po kopertę, rękawiczki musiały mu wtedy przeszkadzać, zdjął je więc i gołymi rękami włożył kartkę do koperty. I dlatego myślę, że nasz „anonim" będzie rodzaju żeńskiego. Tylko kobiety mogą popełnić takie błędy.

— No to idź i pomóż Majewskiemu. Jak dobrze pójdzie, czeka nas niezła harówka. I to dzięki tobie. Wyłącznie dzięki tobie. Bo jeśli to było zabójstwo, to, bracie ty mój, ogłaszam stan wyjątkowy. Zmarnowaliśmy już tydzień. A tydzień — to siedem dni. Słyszysz? Siedem dni. Kapitanowi Naziołkowi też chyba wesoło nie będzie.

Zych westchnął głęboko i już nie był tak podniecony. Kiedy wrócił z Krajewską, był wręcz ponury i unikał patrzenia w oczy komendantowi.

Krajewska wyzbyła się już wyniosłej miny. Wyglądała na zmęczoną. Całonocna podróż w jej wieku jest na pewno uciążliwa, ale to chyba nie zmęczenie fizyczne tak wyraźnie pogorszyło jej wygląd.

Nie patrzyła na Szymańskiego. Siedziała cicha i zamyślona.

— Zaraz będzie pani mogła stąd iść — wyjaśnił na wstępie komendant, lecz Krajewska nie raczyła spojrzeć na niego. — Mam jeszcze parę pytań. Czy to pani dziedziczy wszystko po bracie?

— Tak.

— Będzie pani tu mieszkała, czy też sprzeda tę posiadłość?

— Nie myślałam jeszcze o tym. Chciałabym zostać, ale nie wiem, czy w tej sytuacji nie sprzedam.

— Czy lubi pani niebieski kolor?

Spojrzała wreszcie na niego. Była tak ogromnie zdumiona pytaniem, że aż uniosła wysoko starannie umalowane brwi.

— Czy ma pani jakąś niebieską nylonową chustkę? — brnął na oślep.

— Nie, ależ skądże — wzruszyła oburzona ramionami. — Przecież pan widzi, że jestem ubrana w beżowy kostium i wszyscy moi znajomi wiedzą, że uznaję tylko dwa kolory: beż i wszelkie tonacje brązu. Jakżebym mogła nosić niebieską chustkę? W dodatku nylonową?

Szymańskiemu nagle zachciało się śmiać. Zagryzł usta, bo całkiem serio przestraszył się, że nie wytrzyma i wybuchnie głośnym śmiechem. Ta kobieta była tak głęboko przekonana o swojej wyjątkowej wartości i wyższości, że aż śmieszna. Po prostu śmieszna. Ileż oburzenia było w jej głosie tylko dlatego, że milicjant posądził ją o noszenie niebieskiej chustki.

— Pogrzeb jest jutro, myślę, że zostanie pani w Piaskach jeszcze przynajmniej przez parę dni?

— O której godzinie i którego dnia mam tu znowu przyjść? — uprzedziła żądanie Szymańskiego.

— Jutro. Powiedzmy o drugiej. Potem będzie pani zupełnie wolna.

— Zależy, co kto rozumie pod pojęciem „wolność" — filozoficznie zakończyła rozmowę i z westchnieniem ulgi wyszła z pokoju.

Zaraz po jej wyjściu wszedł Zych.

— Adamczykowa — oznajmił dziwnym głosem.

— Ach tak, tak, długo już czeka?

Zych zbliżył się do biurka.

— Szefie — prawie szepnął — to Adamczykowa.

Zdumiony Szymański popatrzył mu głęboko w oczy.

— Co ty jesteś dziś taki podniecony? Może zamierzasz zawód zmienić? Do telewizji chcesz iść, czy co? A może chory jesteś?

— Pan nic nie rozumie? — Zych był równie zdumiony, jak i jego przełożony. — Mówię przecież jasno, że to Adamczykowa.

— Ach tak — skojarzył wreszcie Szymański. — Ale ty mówisz tak jasno, że niech cię diabli wezmą! No to biegiem po nią. Chyba już jest?

— Czeka w korytarzu od półgodziny. Mogę, szefie, posłuchać?

— Jak mi powiesz jeszcze raz „szefie", to sam cię do telewizji wyślę. Co za pioruńskie zwyczaje! Idź po nią! — rozzłościł się Szymański, ale tylko

dlatego, że nie chciał pokazać przed Zychem, jak bardzo zaskoczyła go ta informacja.

Adamczykowa z każdym dniem piękniała. Była w nowej kremplinowej sukience, a jej paznokcie polakierowane na czerwono były jawnym sygnałem „nowej drogi życia". Czuła się pewnie i wyraźnie była zadowolona z wrażenia, jakie wywarła na milicjantach.

— Czy pani wiedziała, że Krajewski sprzedaje dom? — przystąpił bez zbędnych wstępów do przesłuchania.

— Chciał sprzedać? — zdziwiła się szczerze. — Nic mi nie mówił. To ta aptekarka miała kupić?

— Tak, ona miała kupić.

— A za co? Z państwowej pensji? Przecież nie sprzedawałby jej tego domu na piękne oczy. Jeździ starym samochodem i dwór chce sobie kupić? A skąd pan wie, że chciał sprzedać?

— To nie jest tajemnica, więc powiem. Pani Krajewska tak twierdzi.

— Ach, to o to była awantura? To by się zgadzało. Pan Krajewski krzyczał przecież wtedy, że to jego dom i zrobi z nim co zechce. Mówiłam już panu.

— Mówiła pani i pamiętam to bardzo dobrze. Nie mówiła pani jednak nic o tej niebieskiej chustce.

Adamczykowa poczerwieniała.

— Nie wiedziałam, że to takie ważne, ale że Krajewska ją zauważyła?

— Krajewska niczego nie zauważyła. O tej chustce wiem od pani.

— Ode mnie?

— Napisała pani przecież do nas ten list — pokazał jej anonim, a widząc, że chce zaprzeczyć, od razu powiedział jej o odciskach linii papilarnych.

— No i teraz czekam na wyjaśnienia.

Adamczykowa była tak przestraszona, że od razu zaczęła o wszystkim mówić.

— Kiedy wychodziłam tamtego wieczoru do domu, zobaczyłam w salonie niebieską nylonową chustkę. Leżała pod fotelem. Pan Krajewski był w swoim pokoju, nie chciałam już do niego wchodzić, podniosłam więc tę chustkę i położyłam na stoliku, na tym właśnie, o który się uderzył. Nie wiem, czyja to była chustka, może nawet pani Krajewskiej, chociaż to do niej by nie pasowało. Ona tak jakoś specjalnie zawsze się ubierała, a takie chustki noszą zwyczajne kobiety. Ja mogę, na przykład, też nosić. Ale to nie była moja chustka. A rano, kiedy zobaczyłam, że pan Krajewski już nie żyje, to najpierw uciekłam, potem wróciłam, żeby do was zatelefonować i kiedy dzwoniłam, przypomniałam sobie tę chustkę. Nie wiem, dlaczego akurat o tym pomyślałam. Może dlatego, że wychodząc znalazłam ją pod fotelem? Może dlatego, że tak jakoś nie pasowała do Krajewskich? W każdym razie szybko obejrzałam wszystkie meble w salonie i chustki nie znalazłam. W innych pokojach już nie szukałam, potem zapieczętowaliście dom i tak do tej pory nie wiem, czy jeszcze tam jest, czy jej nie ma. Jak nie ma, to znaczy, że ktoś ją zabrał w nocy, wtedy, kiedy pan Krajewski umarł. A jak zabrał, to znaczy, że miał powód, no nie?

— Szkoda, że tak późno pani o tym mówi.

— Panie komendancie — kobieta uderzyła się mocno w piersi — jak Boga kocham, nie wiedziałam, że to może być ważne. Dopiero później, kiedy tak sobie myślałam o tej dziwnej śmierci, to ciągle tę chustkę miałam przed oczami. No i pomyślałam sobie, że trzeba wierzyć w przeczucia. A mnie przeczucie mówi, że to nie była zwyczajna śmierć. To na pewno morderstwo.

— A kto by miał w tym interes, co?

— Każdy. Pan Krajewski miał strasznie dużo pieniędzy.

— Może się tylko pani tak wydawało? Wiem skądinąd, że miał mało pieniędzy i dlatego postanowił sprzedać dom.

— To nieprawda — zdecydowanie zaprzeczyła Adamczykowa. — Miał pieniądze. Miał dużo pieniędzy. W życiu nie widziałam tyle pieniędzy.

— A, to jednak pani widziała te pieniądze?

— No... no... — Adamczykowa zaczęła się jąkać i z każdą sekundą czerwieniała. Aż nagle rozpłakała się w głos.

Szymański czekał spokojnie, aż się wypłacze. I już był pewien, że kobieta mówi prawdę, zaś prawda była jedna — Krajewski sprzedał dom. Sprzedał i miał w domu pieniądze. Tyle tylko, że rano tych pieniędzy już nie było.

Adamczykowa zalewała się łzami i zamiast się uspokoić, coraz głośniej płakała.

— Co pani przyjdzie z płaczu? No co? Zdrowie tylko się marnuje. Lepiej niech pani nam teraz powie, jak było z tymi pieniędzmi. Pokazywał je pani wtedy wieczorem?

Pochlipując pokręciła przecząco głową.

— To kiedy je pokazał?

— Wcale... wcale mi nie pokazał...

— No to skąd pani wie o tych pieniądzach? —

zdenerwował się Szymański, a jego ostry ton uspokoił natychmiast Adamczykową.

— Ja wiem, że wszyscy mają mnie tu za ladacznicę, za lafiryndę, ale co tam — machnęła ręką. — Mam czterdzieści lat, a nic z tego życia jeszcze nie użyłam. Trafiłam na pijaka i to pijaka do niczego niezdatnego. Ludzie pokazują mnie palcami, za plecami gadają, a ja mam ich wszystkich gdzieś! Tylko jeden Jasiek — tak, tak mówiłam do Krajewskiego, „Jasiek" — i jemu się to podobało, i tylko on widział we mnie człowieka. Jak inni mogą się rozwodzić, to dlaczego ja bym nie mogła? Nie mogę już na ten kaprawy pysk wiecznie zapitego mego chłopa patrzeć. Jasiek mi cudów nie obiecywał, a i mnie nie było w głowie brać z nim ślub, bo i gdzie ja do niego? Czysty śmiech. Ale do swego chłopa już nie wrócę. Byłam parę dni temu w Lublinie, wynajęłam sobie pokój przy porządnej rodzinie, dwoje nauczycieli, starsi już, bez dzieci. Kiedy im powiedziałam, co i jak jest, nie mieli żadnych pretensji. Zgodzili się i na to.

— Na co? — przerwał jej Szymański, który nie bardzo mógł się połapać w zawiłej opowieści o zmarnowanym życiu Adamczykowej.

— Na dziecko, ale, panie komendancie...

— Jakie znowu dziecko?

— Moje dziecko. Moje i Jaśka. Ale, panie komendancie, jak ludzie tu się dowiedzą, co i jak jest, to mnie ukamienują.

— Nikt się nie dowie, może pani być spokojna.

— No właśnie... i dlatego wam szczerą prawdę mówię. Za sześć miesięcy urodzę, jak Bóg da, a za dwa, trzy — wszystko już będzie widać. Byłam u adwokata w Lublinie, powiedział mi, że rozwód dostanę od ręki.

— Chyba tak — zgodził się Szymański. — Wróćmy jednak do tych pieniędzy.

Adamczykowa popatrzyła jakoś tak dziwnie na milicjantów, potem głęboko westchnęła.

— To ja już wam powiem całą prawdę, caluteńką. Jasiek był dla mnie jak mąż. Powiedziałam mu o dziecku, nawet się ucieszył. I był dla mnie jak mąż. Tamtego wieczoru, kiedy już ta aptekarka pojechała, Jasiek zajrzał do pokoju siostry. Spała. Zląkł się nawet, czy na złość nie wzięła jakichś pastylek, bo tak ciężko spała. Sama tam byłam i na własne oczy widziałam, jak spała kamieniem. Miałam iść już do domu, ale Jasiek zabrał mnie do siebie. Zrobiło się późno i bałam się, że w domu będzie awantura. Powiedział mi, żebym u niego została. Ale ja nie chciałam. Zaczęłam się szybko ubierać, a Jasiek na chwilę wyszedł z pokoju, potem zaraz wrócił i wcisnął mi jakąś paczkę. Zapytałam go, co to jest, a on, że pieniądze. Mnie aż słabo się zrobiło, bo paczka — jak na pieniądze — gruba. Dał mi sto pięćdziesiąt tysięcy i powiedział, że to na dziecko. Żebym dobrze chowała i dbała, a przecież i bez tego bym dobrze wychowała, bo to moje. Powiedział mi też wtedy, że jedzie za granicę i może już nigdy nie wróci. Dlatego od razu dał mi te pieniądze. A następnego dnia miał jechać do Lublina w sprawie swojego wyjazdu. Wzięłam pieniądze, schowałam pod bluzkę i poszłam do domu. A dalej, to już wiecie. On miał dużo pieniędzy, udawał tylko, że nie ma. Jak mnie dał taki majątek, a jeszcze miał jechać za granicę, to ile on mógł mieć? Dużo. Bardzo dużo. I ja myślę, że on przez te pieniądze zginął. Bo wtedy, kiedy on wyszedł z pokoju po pieniądze, a ja się ubierałam, wydawało mi się, że ktoś chodzi po ogrodzie. I to bardzo blisko domu. Zaczęłam nawet nasłuchiwać, ale już nic nie słyszałam. A kiedy miałam te pieniądze, to szybko tylnymi drzwiami wyszłam i biegiem poleciałam do swojej chałupy. Bałam się, że ten ktoś złapie mnie i odbierze pieniądze. I on musiał coś widzieć albo słyszeć. W pokoju było ciemno, ale Jasiek zawsze ma uchylony lufcik. Wtedy strasznie padało i nawet chciałam go zamknąć, ale Jasiek powiedział, że on musi mieć świeże powietrze i tylko przymknął, ale szpara nawet spora była.

Szymański siadł ciężko na krześle i począł mocno trzeć czoło.

Tak — pomyślał znużony. — Wygląda na to, że tej sprawy szybko się nie zamknie.

IV

Kapitan Naziołek z komendy wojewódzkiej w Lublinie był tego samego zdania, co i Szymański. Więcej nawet — był już przekonany, że można zakładać umyślne lub przypadkowe zabójstwo. Nowacka odzyskała przytomność, ale była jeszcze tak słaba, że lekarze nie pozwolili na żadne rozmowy.

Z zebranych o Krajewskim informacji wynikało, że wbrew pozorom nie należał do najbogatszych ludzi. Pensja w muzeum nie wystarczała mu na takie życie, jakie prowadził. Uzupełniał jednak swoje dochody sprzedawaniem w lubelskim salo-

nie „Desy" cennych drobiazgów. Mógłby żyć w większym luksusie, gdyby częściej sprzedawał swoje „starocia" lub gdyby sprzedawał cenniejsze przedmioty. Wyglądało na to, że decydował się na sprzedaż dopiero wtedy, kiedy mu rzeczywiście brakowało pieniędzy i pozbywał się tylko tych przedmiotów, które z jakichś powodów były dla niego mniej wartościowe.

Więc na pewno nie miał aż tyle pieniędzy, by mógł lekką ręką wręczyć Adamczykowej sto pięćdziesiąt tysięcy. Miałby te pieniądze tylko wtedy, gdyby dostał już od Nowackiej zaliczkę albo i całą sumę za sprzedaż domu.

Sprawa Nowackiej wyjaśniła się bardzo szybko. Pochodziła ze Słupska, miała tylko matkę — bibliotekarkę, która na pewno nie mogła pomagać finansowo córce. Nielegalne dochody z apteki nie wchodziły w grę — przeprowadzona kontrola wykazała idealny wręcz porządek. Należało więc jeszcze tylko sprawdzić wszystkie możliwe gry i loterię pieniężną, i tak to okazało się, że Nowacka stała się milionerką dzięki „Toto-Lotkowi".

Nowacki nic o głównej wygranej nie wiedział. Był tak zaszokowany tą wiadomością, że sam poprosił Szymańskiego o pomoc w szukaniu pieniędzy lub książeczki oszczędnościowej w domu. Szukali obaj przez parę godzin i nie znaleźli. W depozycie szpitalnym również nie było ani pieniędzy, ani książeczki. Dzień później potwierdziły się przypuszczenia Szymańskiego — Nowacka w paru ratach wybrała z książeczki cały milion. Mogła dać do przechowania pieniądze jakiejś koleżance, ale też i mogła wręczyć je już Krajewskiemu, co było najbardziej prawdopodobne. Jeżeli jednak dała mu już wszystkie pieniądze, to zapewne też spisała umowę. A po umowie i po pieniądzach zaginął wszelki ślad.

Rano w czwartek kapitan Naziołek zadzwonił do Szymańskiego i kazał mu przyjechać do Lublina. Lekarze zgodzili się na rozmowę z Nowacką.

W dwie godziny później byli już w szpitalu. Nowacka siedziała na łóżku i patrzyła na sypiący za oknem gęsty śnieg. Była jakaś zrezygnowana. Nie smutna, nie załamana, a właśnie zrezygnowana.

— Wiem już o wszystkim — wyjaśniła zaraz na wstępie. — Nie mam niestety szczęścia, choć podobno, jak mówiła mama, urodziłam się w czepku.

Naziołek i Szymański spojrzeli na siebie przez moment i obaj pomyśleli o tym samym — ktoś tu w szpitalu nie dopilnował sprawy. A przecież powiedziano lekarzom, że nikt nie ma prawa kontaktować się z Nowacką przed nimi. Była ważnym świadkiem i wiele mogła wyjaśnić, gdyby dopiero teraz dowiedziała się o wszystkim. Stało się już jednak i na razie nie należało robić z tego zbyt dużego problemu. Byłby to bowiem kolejny błąd.

— No nie — zaprzeczył jowialnie Szymański — pani mówi o braku szczęścia? A co w takim razie ja mam mówić? Nigdy nie udało mi się nic wygrać, nawet w książkowej loterii. A jak raz miałem wypadek, to choć jechało nas czworo, to właśnie ja dobrze się potłukłem, a ci troje nie mieli nawet małego siniaka. Pani Henryko, głowa do góry. Najważniejsze, że pani żyje i będzie żyć. Może nam pani opowiedzieć, jak było tamtego wieczoru?

— Wszystko już chyba wiecie. Chciałam zrobić mężowi wspaniałą niespodziankę, a dwoje ludzi, może nawet przeze mnie, nie żyje.

— Pani kupiła już ten dom?

— Tak, tylko nie wiem, czy teraz zdołam to udowodnić. Powiem szczerze — nawet nie będę o to specjalnie walczyć. Łatwo przyszło, łatwo poszło. Może gdybym te pieniądze zarobiła...

— A gdzie jest umowa?

— W domu. Coś się popsuło w naszej syrenie, zadzwoniłam do Andrzeja Traczyka, kierownika naszej apteki, przyjechał po mnie i odwiózł do domu. Byłam w okropnym stanie psychicznym, wtedy po raz pierwszy absolutnie się przekonałam, że pozostał mi już tylko rozwód. I kiedy Andrzej zaproponował mi wyjazd do Lublina do naszych wspólnych znajomych, nie zastanawiałam się zbyt długo. Umowę włożyłam między kartki „Encyklopedii zdrowia", bo to jest jedyna książka, do której mój mąż nigdy nie zagląda. Ma jedną niezaprzeczalną zaletę — nie jest hipochondrykiem i dlatego nie cierpi tej książki. Mówi, że ludzie, którzy ją czytają, sami wpędzają się w najbardziej makabryczne choroby. Myślę, że umowa powinna tam jeszcze być, ale chyba nie ma już większej wartości.

— A to dlaczego? — zdziwił się kapitan Naziołek, który do tej pory milczał, uważnie tylko obserwując kobietę.

— Tam jest fałszywa data. W sensie prawnym spisałam umowę z nieboszczykiem i to już od dziesięciu dni nieżyjącym.

— Dlaczego pani to zrobiła?

— Rozwodzę się z mężem. Tamtego wieczoru miałam jeszcze nadzieję i jednocześnie raz na zawsze ją straciłam. Chciałam jak najszybciej sfinalizować kupno. Co tu będę ukrywać, to był wspaniały interes. Krajewski sprzedawał mi za milion, a dokładniej — zaledwie za milion, cały dom, ogród i wszystko to, co było w domu. Innymi słowy — kupiłam sobie dom, a w prezencie dostałam wspaniałe meble, obrazy, porcelanę i wiele pięknych przedmiotów ze srebra. To wszystko miało być moje. W umowie każdy przedmiot jest wyliczony i nawet dość szczegółowo opisany przez pana Krajewskiego. Więc nie chciałam odkładać terminu spisania umowy, ale też i nie chciałam, by mój mąż po rozwodzie miał prawo do połowy domu. Dlatego przesunęliśmy datę; zamierzałam w tym czasie zorientować się w przepisach prawnych, na podstawie których dom byłby moją wyłączną własnością.

— Czy pani pamięta, gdzie Krajewski schował umowę i pieniądze?

— Schował — to niezbyt trafne określenie. Włożył je do biurka. Nawet nie zamykał szuflady na klucz. To było to maleńkie, prawie że damskie biureczko, które stoi w saloniku, w rogu pod oknem. Sekretarzyk chyba się na taki mebel mówi. Wydawało mi się nawet wtedy, że on jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, jak wielką sumę pieniędzy wziął ode mnie. Schował te paczki banknotów tak, jak ja kładę do szuflady swoją pensję. Jemu chyba te pieniądze nie były potrzebne, nie umiał się nimi cieszyć. Nie jestem psychologiem, ale jeśli ja miałam takie dziwne uczucie, kiedy wyjmowałam z torby te pieniądze, to i on powinien być... no, jak by tu powiedzieć, panowie mnie chyba rozumieją? Nie dostaje się przecież miliona każdego dnia.

— Wiem, wiem, o co pani chodzi — kiwnął głową Szymański. — Czy wiedziała pani o tym, że Krajewski był nieuleczalnie chory na raka?

Spojrzała na nich zdziwiona.

— Teraz to już wszystko rozumiem — odpowiedziała po dłuższej chwili. — Teraz już wszystko jest jasne. Mówił mi o wyjeździe za granicę, ale tak, jak ja bym mówiła teraz panom, że jutro jadę na wycieczkę do Lipska. Myślałam nawet, że może on chce uciec z kraju, ale wówczas nie mówiłby chyba wszystkim o tym wyjeździe i nie sprzedawałby tak jawnie wszystkiego, co miał. W końcu ci, którzy dają paszporty, mogą przewidzieć, kto wyjeżdża turystycznie, a kto przygotowuje się do ucieczki, no nie?

— Jak pani dowiedziała się, że Krajewski chce sprzedać dom?

— To on się ode mnie dowiedział. Szukałam domku koło Lublina, ale za milion można dziś kupić tylko paropokojowe mieszkanie własnościowe, nie zaś dom z ogrodem. I któregoś dnia, kiedy spotkałam się z Krajewskim w Lublinie, powiedziałam mu, że bezskutecznie poszukuję względnie taniego domku. A po paru dniach on sam przyszedł do mnie do apteki, powiedział, że ma interesującą ofertę, umówiłam się na następny dzień w Lublinie i dowiedziałam się wtedy, że może mi sprzedać własny dom.

— A od kiedy znała pani Krajewskiego?

— Bo ja wiem? Od roku, może od półtora roku. Musiałabym sobie przypomnieć. Parę razy przychodził do naszej apteki, pamiętam, że chorował na żołądek, bo zazwyczaj brał takie właśnie lekarstwa. Ale już w tym roku nie przychodził do nas z receptami. Sądzę, że kupował lekarstwa w Lublinie. Może nie chciał, żeby ktokolwiek dowiedział się w Piaskach o jego rzeczywistej chorobie? Nas niby też obowiązuje tajemnica lekarska, ale pan sam wie, panie komendancie, że w naszych kochanych Piaskach nie uchowa się chyba i tajemnica spowiedzi.

— Czy Krajewski mówił pani coś o swojej gospodyni i o siostrze?

Zamyśliła się.

— Nie, trudno mi sobie teraz wszystko przypomnieć, ale raczej nic o nich nie mówił. Gospodynię widziałam parę, no, może parenaście razy. Podobała mi się nawet, bo... jak by to powiedzieć... Bo była taka bez kompleksów. Gdyby ktoś nie wiedział, że jest gospodynią, mógłby ją wziąć za żonę Krajewskiego. Zawsze była bardzo miła, uprzejma, taka jakaś ciepła.

— A pani Krajewska?

— Nigdy jej nie widziałam. Ostatnio jednak, kiedy bywałam u Krajewskiego, była w domu. Słyszałam jej kroki w korytarzu albo też sam Krajewski mówił mi, że siostra robi to albo tamto. Jestem przekonana, że nie lubił jej. Mówił o niej z wyraźnym lekceważeniem w głosie, nigdy nie zaprosił jej do saloniku, gdzie jedliśmy podwieczorek albo i kolację. Nawet mnie to krępowało.

— Czy pani otrzymała pieniądze w nowych banknotach? — wtrącił się kapitan.

— Tak. Tak — kiwnęła głową. — Pamiętam to dokładnie, nawet zapisałam sobie numery serii, to znaczy nie wszystkie, tylko te początkowe, bo

następne banknoty miały kolejne numery. Zapisałam sobie na tak zwany wszelki wypadek — a nuż ktoś mnie okradnie albo zgubię.

— Gdzie są te numery?

— W kalendarzyku, a kalendarzyk w torbie, zaś torba powinna być w szpitalu.

— Mówiła pani, że już o wszystkim wie. Mąż pani to powiedział?

— Jesteście moimi pierwszymi gośćmi. Wczoraj salowa przyniosła mi list od męża. Nie pozwolili mu na wizytę. I napisał mi, że Krajewski nie żyje. Napisał też, że dowiedział się od was o moim zamiarze kupienia domu Krajewskiego, o wygranej w „Toto-Lotka".

— Może pani ten list pokazać? — przerwał jej Szymański.

— Oczywiście. Proszę — podała dwie kartki leżące na wierzchu szafki szpitalnej.

List był obszerny. Szymański przeczytał tylko jedną stronę i spytał, czy może zabrać go ze sobą. Zgodziła się bez wahania.

Mieli już wychodzić, kiedy Szymański przypomniał sobie o anonimie Adamczykowej.

— Pani Henryko, to pani zostawiła swoją niebieską nylonową chustkę u Krajewskiego?

Spojrzała na niego zdumiona.

— Niebieską chustkę? Ja? Nic takiego nie pamiętam. Jak dokładnie wyglądała?

— Niestety nie wiem — Szymański wzruszył ramionami. — Nie widziałem jej. Adamczykowa jednak powiedziała, że taką chustkę widziała pod fotelem tamtego wieczoru.

Nowacka starała się sobie coś przypomnieć, ale po chwili też wzruszyła ramionami.

— Nawet nie pamiętam, czy ja w ogóle miałam kiedyś niebieską nylonową chustkę. Nie lubię ani nylonu, ani tym bardziej niebieskiego koloru.

Wyszli z niczym. Przed powrotem do Piasków Szymański pojechał do Adamczykowej, która już pracowała u swoich nowych chlebodawców w Lublinie. Właściciele mieszkania byli jeszcze w pracy, Adamczykowa przygotowywała obiad. Pieniądze miała ze sobą, postanowiła bowiem do chwili uzyskania rozwodu nie wpłacać ich na książeczkę PKO. Numery serii zgadzały się. Dostała pieniądze Nowackiej.

Szymański powrócił jeszcze raz do jej anonimu.

— Czy pani dokładnie pamięta tamtą chustkę? Nikt jej oprócz pani nie widział.

— Ale była. Przecież pan widzi, że mówię wszystko jak na spowiedzi. Pieniądze nawet pokazuję, choć nie wiem, czy mi nie zabierzecie. Ale jeśli Jaśka ktoś zabił, to wolę stracić wszystkie pieniądze niż kryć mordercę. Była, na pewno była. Podniosłam ją i położyłam na tym stoliku. Pamiętam nawet, że była jakby wilgotna, a tamtego wieczoru lało jak z cebra. Mogła to być chustka tej aptekarki, bo innej kobiety tego dnia nie było.

— Pani Nowacka mówi, że nie miała niebieskiej nylonowej chustki.

— No to może nie jej... A może kłamie?

— Wydaje mi się, że nie kłamie. Wieczorem w tym pokoju nie jest zbyt jasno, może pani mylnie opisała tę chustkę?

— Oj, panie komendancie — żachnęła się kobieta. — Jasno tam nigdy nie jest, ale tę chustkę dobrze widziałam. Jak ją podnosiłam, to się jej jeszcze dobrze z bliska przyjrzałam, bo zastanowiło mnie, skąd tam się wzięła. I w pierwszej chwili pomyślałam właśnie o tej aptekarce. Położyłam za pamięci...

— Zaraz, zaraz — przerwał jej Szymański — mówiła pani, że chustka była nylonowa i jakby trochę wilgotna, a przecież pani Nowackiej nie było już od co najmniej dwóch godzin. W tym pokoju jeszcze rano było bardzo ciepło, a nylon schnie chyba szybko, co?

Adamczykowa speszyła się.

— Pan mi nie wierzy, pan myśli na pewno, że to ja, a ja przecież byłam ostatnią osobą, która źle życzyła Jaśkowi. Nie była mokra, ale tylko tak jakby wilgotna, bo to był ten grubszy, taki lejący się nylon. A jak to jeszcze leżało pod fotelem, to i nie mogło tak szybko wyschnąć.

Szymański rozejrzał się po kuchni i zobaczył parę niebieskich talerzy.

— Niech mi pani pokaże, jaki to był mniej więcej kolor. Jasnoniebieski czy ciemniejszy?

Adamczykowa zaczęła się rozglądać po kuchni szukając właściwego koloru.

— Podobny trochę do tego — wskazała na emaliowany niebieski kubek — i do tego — dotknęła zasłonki w oknie.

Szymański miał tak bardzo zdziwioną minę, że Adamczykowa aż się przestraszyła.

— Co, panie komendancie, coś źle mówię?

— Pokazuje mi pani przecież zieloną zasłonkę — wyjąkał zdumiony. — Pani jest daltonistką?

— Czym? — zdziwiła się teraz Adamczykowa.

— Daltonistką. Taką osobą, która nie rozpoznaje zielonego albo czerwonego koloru.

— Niemożliwe — zaprzeczyła zdumiona.

Szymański nie musiał jednak iść z tą sprawą do okulisty. Pokazując Adamczykowej różne kolory upewnił się, że kobieta widziała albo czerwoną albo zieloną chustkę. I najbardziej prawdopodobne było, że widziała zieloną.

— Wie pani co? Sprawdzimy jeszcze ten pani nylon. Może mi pani przynieść coś, co by było podobne do tamtego nylonu?

— Mogę — zgodziła się chętnie. — Profesorowa ma z takiego samego nylonu bluzkę, parę dni temu prałam ją. Zaraz przyniosę.

I po minucie przyniosła jasnobeżową bluzkę wizytową, uszytą z syntetycznej tkaniny, której nawet Szymański nie nazwałby nylonem.

— Na pewno ten materiał?

— Na pewno — potwierdziła Adamczykowa. — Taki sam jest w dotyku. I niech pan zobaczy, jak się ładnie układa.

W tym właśnie momencie przyszła chlebodawczyni Adamczykowej. Szymański, widząc jej zdumienie na widok trzymanej przez niego bluzki, od razu wyjaśnił cel swojej wizyty.

— Ach tak — uspokoiła się natychmiast. — Wiem o wszystkim od pani Adamczykowej.

— Czy pani może mi powiedzieć, co to za tkanina? — wskazał na bluzkę.

— Dederon. Bardziej elegancka odmiana nylonu. Świetnie się nosi, doskonale pierze, nie zmienia koloru, nie kurczy się — słowem — same zalety.

— Tę bluzkę kupowała pani w Lublinie?

— Szyłam ją. A materiał kupiłam w sklepie, ale to nie nasz materiał. W NRD produkują dederon. Może teraz już i u nas, ale przed paroma laty materiały te sprowadzane były z NRD.

— A czy widziała pani chustki dederonowe?

— A jakże. Teraz chustki są w modzie, wszystkie moje uczennice, czy jest im dobrze, czy nie, wiążą tak na styl wiejski różne chustki na głowie. Czasem noszą nawet dwie i tę drugą skręcają na kształt grubego sznura zawiązując nad czołem. Śmieszna moda, nawiasem mówiąc. Ale właśnie najlepiej nadają się do tego celu chustki z tkaniny syntetycznej albo z bardzo dobrego jedwabiu, a bardzo dobry jedwab jest trzy razy droższy od syntetyku, więc noszą z reguły te dederonowe.

— I widzi pani? — zwrócił się z wyrzutem do Adamczykowej.

— Chciałam jak najlepiej — próbowała się usprawiedliwić, a Szymański nie mógł mieć do niej pretensji. Bo i rzeczywiście chciała jak najlepiej.

Mimo że zrobiło się już dość późno, a o drugiej musiał być w Piaskach, postanowił wrócić jeszcze do szpitala. Dyżurny lekarz nie pozwolił jednak na rozmowę. Stan zdrowia Nowackiej nagle się pogorszył i mogło być to wynikiem przedpołudniowej rozmowy.

Zawiadomił więc tylko kapitana Naziołka o rozmowie z Adamczykową i wrócił do Piasków. Dopiero tuż przed wyjściem z komendy znalazł trochę wolnego czasu i zaczął dokładnie czytać list Nowackiego do żony.

Przeczytał go parę razy i za każdym razem wydawało mu się, że jest to jakiś bardzo szczególny list. Zawołał Wacka.

— Wiesz, mały, kto jak kto, ale ja jestem daleki od różnego rodzaju przeczuć. Czytam jednak ten pioruński list już po raz czwarty i wiem, że coś tu jest nie tak. Ja bym w każdym razie nie napisał takiego listu do ciężko chorej, cudem ocalałej żony. Przeczytaj i powiedz mi, czy masz podobne wrażenie.

— Pan, panie komendancie, żyje w zgodzie ze swoją żoną, szanuje ją i na pewno pan by napisał inny list. A Nowaccy rozejdą się chyba, to i nie mógł do niej napisać tak, jak mąż do żony.

— Czytaj, czytaj, pogadamy potem.

Młodziutki milicjant czytał bardzo wolno. Złożył wreszcie kartki i zamyślił się.

— No? — ponaglił go Szymański.

— Ma pan rację, panie komendancie. To jest dziwny list. Tym dziwniejszy, że jeśli mają brać rozwód, to po co tak szczegółowo opisywał jej, co robił tamtego wieczoru, jak zmarł Krajewski, co mówił na przesłuchaniu u nas. Wydaje mi się, że jemu właśnie na tym zależało, to znaczy na przekazaniu jej jak najwięcej informacji o tym wypadku.

— No właśnie — zgodził się Szymański. — Jakby policzyć linijki, to chyba trzy czwarte listu jest o tej sprawie. Po co tak szczegółowo wszystko jej opisał?

— Może nie miał o czym innym pisać, a chciał napisać długi list?

— Wierzysz w to, mały?

— Nie wierzę.

— No to kręć głową i mów, co ci tylko ślina na język przyniesie.

— Wie pan, gdybym zaczął pisać kryminał i chciał wszystko dobrze poplątać, tobym zrobił tak: Nowacka z jakiegoś tam powodu zabija Krajewskiego, albo może być posądzona o zabójstwo, a mąż postanawia ją ratować i wysyła do

niej taki właśnie list. Uprzedza ją o wszystkim i wtedy ona wie, jak ma zeznawać.

— Albo on zabija i liczy na pomoc żony.

— To jest możliwe. Pan jednak wie, że ani Nowacki, ani tym bardziej Nowacka nie mogli być w tym czasie w domu Krajewskiego. Nowacka walczyła w tym czasie o swoje życie, a Nowacki był w fabryce. Trudno posądzać maszynistkę, żeby chciała osłaniać nie lubianego szefa.

— A wiesz co, mały? Wychodzi na to, że Nowacki posądza swoją żonę o najgorsze i próbuje ją ratować.

— Bo nie wie, o której godzinie umarł Krajewski i o której był wypadek samochodowy. Może myśli, że żona zabiła go o dwudziestej drugiej?

— Może i masz rację — zgodził się Szymański. — No nic, trzeba będzie na razie tę sprawę odłożyć i zacząć szukać pieniędzy. Nie rozpłynęły się. I spodziewam się najgorszego — ten, kto je ukradł, wie, że możemy znaleźć go, jeśli zacznie wydawać pieniądze. Banknoty były nowe i nawet mąż Adamczykowej bałby się po zabiciu Krajewskiego i kradzieży pieniędzy kupować za nie wódkę.

V

Już od trzech dni padał gęsty śnieg. Pługi odśnieżające jeździły prawie bez przerwy, a mimo to szosa do Lublina co parę godzin na różnych odcinkach stawała się nieprzejezdna. Główna ulica Piasków upodobniła się do głębokiego wąwozu, po bokach którego leżały wysokie zwały śniegu.

— Teraz trzeba nam tylko gwałtownej odwilży i spłyniemy do rzeki — zażartował Zych brnąc w mokrym śniegu.

— Nie wiem, czy nie byłoby to dla ciebie najlepsze rozwiązanie — zakpił ponuro Szymański, ocierając wierzchem dłoni zakatarzony nos. — Pchałeś się do tej roboty, wyrywałeś wszystkim wszystko z ręki i co?

— Ci z Lublina też nie byliby lepsi, szefie — zaoponował Zych.

Szymański stanął i niebezpiecznie poczerwieniał.

— Wiesz co, Zych? Ja zacznę dopiero po Nowym Roku, ale jak zacznę, to będziecie tańczyć na palcach! Wszyscy, jak primadonny warszawskie! Rozpuściliście się jak dziadowskie psy. A dlaczego? A dlatego, że trafiliście na mnie, na mięczaka, na „swego chłopa". Ale już koniec z tym. Koniec — słyszysz!

— Komendancie — szepnął Zych — ktoś może nas podglądać, a potem całe Piaski będą mówić...

— A gówno mnie obchodzi, co będą mówić! — krzyknął już mocno rozzłoszczony porucznik i poszedł nie oglądając się na osłupiałego Zycha.

Tu, poza miastem, śnieg zacinał ostro, a igiełki lodu boleśnie drażniły skórę twarzy. Szymański nie miał już w co wycierać stale mokrego nosa, więc tylko co chwilę pociągał nim siarczyście albo ocierał wierzchem dłoni. Wściekły był, jak diabli. Szkoda mu było Zycha, chciał mu pomóc i mając tylko jedną wolną godzinę zaryzykował wyjazd do domu Krajewskiego. Jadąc w tamtą stronę był już prawie pewien, że będzie musiał wracać piechotą. I tak też się stało. Kierowca próbował oczyścić łopatą choć kawałek drogi, ale to był tak samo dobry pomysł, jak mieszanie zupy zapałką. Sześć kilometrów to tylko godzina drogi, wiedział jednak, że już nie zdąży na czas do komendy. Kapitan Naziołek oczywiście poczeka, ale nie musiałby czekać, gdyby nie te zwariowane pomysły Zycha. Ubzdurał sobie, że tamtego wieczoru, kiedy Krajewski umarł, rzeczywiście mógł ktoś być w ogrodzie i podsłuchać rozmowę. Na wspomnienie tego eksperymentu Szymańskiego aż ściskało w dołku. Wszystko było słychać, wszystko. Ktokolwiek stał wtedy pod oknem, wiedział, że Adamczykowa dostała sto pięćdziesiąt tysięcy. A mówił im wtedy, żeby wszystkie ślady zabezpieczyli, żeby ogrodu nie pomijali. „Błoto, jedno błoto, szefie, i co tu zabezpieczać" — filozofował wtedy Zych, a teraz trzeba będzie pić za niego to piwo. „Szefie, co my się mamy ciągle oglądać na Lublin, sprawa wygląda niegroźnie, damy sobie sami radę" — nalegał, a Szymańskiego też poniósł patriotyzm lokalny. Gdyby wtedy nie natąpił Zychowi i Naziołkowi, sprawę poprowadziłaby do końca komenda wojewódzka i nie musiałby się teraz tak gryźć.

Obejrzał się, ale nie zobaczył już Zycha. Sierżant wrócił chyba do samochodu, żeby pomóc kierowcy w wydostaniu się ze śnieżnej pułapki.

Za zakrętem była już lubelska szosa, więc i szansa pojechania „na łebka". Ale akurat w kierunku Piasków nic nie jechało. Znowu chyba gdzieś spora zaspa przegrodziła szosę. Szedł coraz wolniej i coraz głośniej sapał. Nogi niezgrabnie

ślizgały się na wyboistej grudzie albo tonęły do pół łydki w świeżo nasypanym śniegu. W końcu stanął i zaklął siarczyście. Potem wybrał najgorsze ze znanych mu przekleństw i prawie je wykrzyczał. I nagle zaczął się z samego siebie śmiać. Śmiał się tak głośno i tak długo, aż poczuł wyraźną ulgę. Zapalił papierosa i osłaniając go ręką zaczął już spokojnie iść w stronę miasta, pogwizdując co chwilę.

Tak — dumał sobie po drodze — trzeba będzie zabawić się w detektywa. Innej rady nie ma. Muszę mieć absolutną pewność co do Krajewskiej. Jest możliwe, że spała tak głęboko, iż niczego nie słyszała. Ale jest również możliwe, że widząc zwłoki brata postanowiła wycofać umowę i ukraść pieniądze. Może właśnie dlatego pojechała do Gdańska i gdzieś tam schowała pieniądze? Jedyny na nią sposób to przekonanie jej, że posądza się ją o zabójstwo. Jeśli nie miała nic wspólnego z tym nieszczęśliwym wypadkiem, to przyzna się do kradzieży pieniędzy. Jeśli jednak miała? Druga sprawa — dlaczego Nowacka tak dziwnie się zachowuje? Czyżby coś ukrywała? I czyżby chodziło o tę nieszczęsną chustkę? Cichocka jest już starszą kobietą, przysięgała jednak, że widziała u Nowackiej taką właśnie chustkę, jaką jej opisał. Zieloną, dużą, z syntetycznej tkaniny. Nosiła ją zamiast szalika wiążąc fantazyjnie pod szyją. Cichocka dlatego tak dobrze zapamiętała tę chustkę, ponieważ chciała sobie podobną kupić. I wtedy właśnie Henryka Nowacka miała jej powiedzieć, że podobną może sobie kupić tylko w NRD.

Nowacka nie zaprzeczała, że miała taką lub podobną chustkę. Twierdziła jednak stanowczo, że na parę dni przed śmiercią Krajewskiego zgubiła ją gdzieś. Wykluczała absolutnie dom Krajewskiego, twierdząc, że nigdy w tej chustce u niego nie była.

— Albo ja zgłupiałem — powiedział głośno do siebie Szymański — albo to był tylko nieszczęśliwy wypadek.

Usłyszał nadjeżdżającą od strony Lublina ciężarówkę. Machnął ręką, a kierowca widząc milicjanta szybko się zatrzymał. Odetchnął, kiedy zorientował się, że ma tylko wyświadczyć porucznikowi drobną przysługę.

Kiedy Szymański wysiadał przed komendą, zobaczył po drugiej stronie ulicy Nowackiego. Wychodził akurat z restauracji i tak nieszczęśliwie się pośliznął, że upadł jak długi na plecy. Ktoś go zaraz podniósł, ale Nowacki wyraźnie nie miał ochoty stać. Zastanowiło to Szymańskiego i zamiast do komendy, przeszedł na drugą stronę ulicy. Nowacki był kompletnie pijany. Bełkotał jakieś niezrozumiałe słowa, wyrywał się swemu dobroczyńcy, który podniósł go ze śniegu.

Wrócił do komendy, zawołał nudzącego się przy biurku milicjanta i kazał mu odprowadzić Nowackiego do domu.

Kapitan Naziołek oczywiście czekał już od prawie godziny.

— Nie zasypało cię po drodze? — zażartował Szymański na przywitanie, choć wcale już mu nie było wesoło.

— Mnie nie, ale ciebie chyba przed chwilą z zaspy wyjęli albo w bałwana z dziećmi się bawiłeś.

— W bałwana to ja się nie muszę bawić — ponuro stwierdził Szymański, otrzepując się ze śniegu. — Takiego bałwana, jak ja, to ty już chyba nie spotkasz. I na przyszły raz to ty nam nie idź na rękę. Co nasze, to nasze, a co wasze, to wasze. I nie naszą sprawą powinno być to grzebanie się w sprawie Krajewskiego.

— Gdybyśmy sami zaczęli grzebać, sprawa mogłaby już być zakończona.

— No właśnie — zgodził się Szymański.

— A teraz trzeba by ją było wznawiać, ponieważ zaistniały dodatkowe fakty, jak na przykład anonim Adamczykowej czy kradzież pieniędzy. I bylibyśmy dokładnie w tym samym punkcie, w którym ty się znalazłeś. Na takie układy, bracie, nie ma rady. Jedno, co w tej sprawie jest pewne, to tylko to, że Krajewski mógł sam się uderzyć głową o ten przeklęty stolik. Mógł. I druga rzecz jest prawie pewna — jeżeli ktoś mu pomógł w tym upadku, to mogła mu pomóc tylko siostra, która w tym czasie była w domu, albo ktoś zupełnie ci jeszcze obcy, kto umie fruwać i nie zostawia żadnych śladów. Twoi chłopcy zabezpieczyli tych śladów aż za dużo, byli bardzo dokładni, nic im nie możesz zarzucić, bo niczego nie spartaczyli. Teraz pozostaje nam tylko szukać tych pieniędzy, no i myśleć.

— Mam ochotę postraszyć Krajewską, co ty na to?

— Liczysz na załamanie?

— Tylko to nam chyba zostało. Bo widzisz — Szymański z przejęcia zaczął aż machać rękami — do tej pory przecież nie wiemy, czy to zbrodnia czy zwykły wypadek. A jeśli to był tylko wypadek?

— Nawet jeśli był to tylko wypadek, pieniądze jednak zginęły.

— Nikt tych pieniędzy tak na dobrą sprawę nie widział.

Kapitan Naziołek patrzył zdumiony.

— Co ci teraz chodzi po głowie? — zapytał z niedowierzaniem. — Czyżbyś trafił na jakąś nową informację?

— Nie, nic nowego nie mamy, ale pomyśl — Szymański zapalił papierosa i na chwilę zamilkł. — Ty nie znasz tutejszych ludzi. Lublin metropolią nie jest, ale chyba nawet i ty miałbyś tu po paru miesiącach dobry zamęt w głowie. Ludzie w Piaskach żyją tak, jak się żyje na wsi. Każdy każdego zna, wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą. I jest tylko jeden problem — trudno tu odróżnić plotkę od prawdy. Nowaccy przyjechali z Warszawy. Młodzi, prosto po studiach. Żadne z nich nie mieszkało jeszcze w tak małej mieścinie. A w szkołach ich nie uczono, że ludzi trzeba zmieniać powoli i to tak, żeby się niczego nie domyślali. Nowacki sam przyznaje, że postawił na fabrykę, a nie na małżeństwo. Jego żona musiała się nudzić piekielnie. Młoda, ładna dziewczyna, która nie chciała żyć tak, jak żyją ludzie tutejsi. Wiele złego o niej się tu mówi, znam parę takich osób, które nie kupią u niej nawet aspiryny, tak jej nie wierzą. Bo pani magister w aptece powinna być święta. A ona jest taka, jak wszystkie inne dziewczyny. I teraz ja sam nie wiem, ile z tego, co o niej się tu mówi, jest prawdą, a ile plotką.

— A co to ma do rzeczy? — przerwał mu kapitan.

— Moim zdaniem sporo. Nowacka wygrała milion w „Toto-Lotka". Krajewski miał dom, za który mógłby wziąć sporo ponad milion. A jeśli się policzy jeszcze te meble, obrazy... Dlaczego robił z Nowacką tak marny interes?

— Może się spieszył. Wiedział, że długo żyć nie będzie, a milion, to była ta kwota, która mu zapewniała życie luksusowe. Znał Nowacką...

— O, i widzisz — przerwał mu teraz Szymański. — Właśnie: znał. Ale na ile znał? I kim ona była dla niego? Tylko znajomą aptekarką? A może kimś więcej? Dziewczyna jest przecież ładna, inteligentna, kulturalna, a z tego, co ludzie o niej mówią, wynikałoby, że nie stroniła od bliskich znajomości z mężczyznami.

— Bliska znajomość to jeszcze nie prostytucja.

— Mnie też się w głowie nie mieści, żeby ta dziewczyna rzeczywiście była taka, za jaką ją mają tutejsi ludzie. Ale jeśli ludzie mają rację?

— No to co?

— No to Krajewski mógł jej to wszystko dać w prezencie.

— A te sto pięćdziesiąt tysięcy?

— Może zostawiła mu na podatek od umowy kupna-sprzedaży?

— A on dał te pieniądze Adamczykowej? Bzdury teraz mówisz.

— Może dał, a może sama sobie wzięła. Wzięła bez świadków, a nam powiedziała co innego. Widzisz, mnie chodzi o to, że my wcale nie wiemy, ile pieniędzy miał tamtego wieczoru Krajewski. A jeśli w końcu okaże się, że był to tylko nieszczęśliwy wypadek i nikt nic nie ukradł ośmiuset pięćdziesięciu tysięcy złotych?

Zamyślili się obaj.

— No więc co robimy? — spytał po dłuższej chwili Szymański.

— Dzwoń do żony. Do Lublina dojedziemy, ale wieczorem ta szosa może być już nieprzejezdna. Nie jest wykluczone, że wrócisz dopiero jutro, prosto na wigilię.

Szymański uśmiechnął się porozumiewawczo. Wiedział już bowiem, że kapitan Naziołek nie ma nic przeciwko jego dość karkołomnemu pomysłowi, a mianowicie wmówieniu Krajewskiej zabójstwa.

Zbliżała się czwarta, kiedy do pokoju kapitana Naziołka weszła Krajewska. Była niesłychanie oburzona.

— Do czego to dochodzi! — zaczęła krzyczeć zaraz od progu. — Tak nie można postępować z uczciwymi obywatelami!

— Nie wszyscy są uczciwi — przerwał jej dość ostro kapitan. — Proszę siadać. Gdyby obywatelka mówiła prawdę od samego początku, mogłaby teraz spokojnie ukręcać sobie mak na ciasto wigilijne.

Zaskoczona ostrym tonem i służbowymi zwrotami urwała w pół słowa swoje pretensje. Usiadła niepewnie, a Szymańskiemu wydawało się, że wreszcie Krajewską ogarnął strach.

— Gdzie są pieniądze i umowa? — przystąpił od razu do sedna sprawy Naziołek.

Pochyliła się gwałtownie do przodu. Chciała coś powiedzieć, ale tylko otworzyła usta. Jej starannie umalowana twarz wyraźnie zszarzała.

— Jakie pieniądze? — wyszeptała wreszcie z trudem.

— Powiedziałem chyba jasno. Więc?

— Ja nie mam żadnych pieniędzy — zaprzeczyła szeptem, rozpinając jednocześnie bluzkę pod szyją.

— Wolicie być, obywatelko, oskarżoną o zabójstwo czy o kradzież?

— Ja go nie zabiłam! — krzyknęła z rozpaczą. — Nie mogłam go zabić! Spałam! Spałam i nic nie słyszałam!

— Ale Jan Krajewski nie żyje i to jest fakt.

— Mógł to być przecież nieszczęśliwy wypadek...

— Ale nie był — przerwał jej ostro Naziołek. — Gdzie są pieniądze?

— Po co miałabym zabierać pieniądze? Po co? Przecież po jego śmierci i tak wszystko byłoby moje.

— Wiecie bardzo dobrze, obywatelko, że nic nie byłoby wasze. Wiecie o tym tak samo dobrze, jak i my, i Adamczykowa.

Pobladła jeszcze mocniej. Wydawało się, że za chwilę zemdleje.

— Nic nie wiem... Nic nie wiem... Nic...

— Wiecie bardzo dużo. Wiecie na przykład o tym, że Adamczykowa za parę miesięcy urodzi dziecko, którego ojcem byłby wasz brat.

— Ale nie będzie — wyrwało się jej nieopatrznie i jakby dopiero teraz pojęła, co powiedziała. — Boże święty, ja go nie zabiłam — poczęła się gwałtownie tłumaczyć. — Ja nie chciałam takiej hańby, nie chciałam do tego dopuścić, tłumaczyłam mu, że kala nasze nazwisko, ale ja go nie zabiłam. Powiedziałam mu, że ma przed sobą tylko parę miesięcy życia, że lekarze nie ujawnili przed nim faktycznego stanu jego zdrowia. Powiedziałam mu, że nie doczeka się tego dziecka. Krzyczał tak okropnie na mnie, myślałam, że właśnie on mnie w tej nieopanowanej złości zabije. Powiedział mi, że to jego dom i wszystko jest jego, i zrobi z tym, co tylko będzie chciał. Domyślił się, po co przyjechałam do niego. Domyślił się całej prawdy i dlatego tak bardzo krzyczał, na nic nie bacząc. Wiedziałam, że brat mój święty nie był. Widywałam go w Lublinie z najdziwniejszymi kobietami, nawet z dziewczętami, które mogły być jego córkami. Ale nic na to poradzić nie mogłam. Kiedy jednak powiedział mi o tej ladacznicy, o spodziewanym dziecku, myślałam, że ze wstydu umrę. I jeszcze tak mnie przed nią poniżył. Nie pozwolił jej niczego mi podawać i kazał właśnie mnie wynosić się z tego domu.

— Kiedy o tym rozmawialiście?

— Nie pamiętam wszystkich rozmów, byłam tam przecież parę tygodni. Przyjechałam, żeby pomóc, żeby się nim zaopiekować. A kiedy zorientowałam się, co mi szykuje, zostałam tam tylko po to, żeby nie dopuścić do takiej hańby. Z początku myślałam, że to Nowacka jest jego najnowszą flamą. Taka młoda dziewczyna jeszcze, mężatka i taka głupia. Chociaż czy ja wiem, czy głupia? Dziś ludzie są wyrachowani. Ona pracowała w aptece, na pewno orientowała się w stanie zdrowia mego brata. Liczyła zapewne na jego szybki koniec i na wielkopański gest. Parę razy słyszałam przez uchylone drzwi salonu, jak ofiarowywał jej różne drobiazgi...

— Brała je? — przerwał jej znowu Naziołek.

— A po co? — wzruszyła wzgardliwie ramionami. — Gdyby brała drobiazgi, nie doczekałaby się tego majątku. Wiedziała dobrze, że nic biorąc niczego najszybciej uśpi jego czujność. Takie małe miasto, takie małe, a ona niczego się nie wstydziła. Przecież na pewno była na językach...

— Kiedy dowiedziała się pani o sprzedaży domu?

— Ten dzień zapamiętam do końca życia. To był poniedziałek, dzień przed jego śmiercią. Powiedział mi, że właśnie we wtorek przekaże dom na własność Henryce Nowackiej. I wszystko to, co w tym domu jest. Myślałam, że zemdleję. Nic wtedy nie mogłam powiedzieć. Dopiero następnego dnia poszłam do salonu i próbowałam odwieść go od tego zamiaru. Zaproponowałam mu pieniądze ze sprzedaży mojego mieszkania, powiedziałam, że mogę jeszcze sporo pieniędzy pożyczyć, błagałam, żeby zostawił dom i nasze pamiątki rodzinne mnie. Ale on mnie nie słuchał. On chciał się na mnie zemścić. To dawne dzieje, nie warto teraz tego przypominać, ale ja wiedziałam, że on kiedyś się na mnie zemści. I dopiął swego. Jemu nie były potrzebne pieniądze. Jemu chodziło tylko o to, żebym straciła wszelkie prawo do tego domu. Gdyby Nowacka miała sto tysięcy złotych, to by jej i za tyle sprzedał ten dom i jeszcze sam opłacił całą procedurę prawną. On mi powiedział o tym wprost.

— Nie bardzo wierzę w to, co pani teraz mówi — wtrącił się milczący dotychczas Szymański. — Gdyby chciał się tylko zemścić na pani, mógł się zemścić jeszcze bardziej, przekazując dom Adamczykowej.

— Nie, tego zrobić nie mógł. On nie kochał tej kobiety, on chyba nie kochał już żadnej kobiety prócz tej jednej, którą mu prawie własnoręcznie zabrałam. Popełniłam wtedy duży błąd, ale już nie do naprawienia. Więc on nie kochał ani Adam-

czykowej, ani też żadnej z tych kobiet, z którymi go widywano. Wiedział dobrze, że ten dom przerasta Adamczykową. Chciał go oddać w dobre ręce, trafiła się Nowacka i sprzedał jej za psie grosze.

— No, znowu nie za takie psie — zaprotestował Szymański. — Milion to jest jednak milion.

— I to jest najwyżej połowa wartości tego domu, więc dlatego mówię, że za psie. Adamczykowej nie był potrzebny taki dom, jej były potrzebne pieniądze. I miał jej dać prawie wszystko.

— Dał jej jednak tylko sto pięćdziesiąt tysięcy złotych. Co chciał zrobić z resztą?

— Miał jej kupić mieszkanie własnościowe w Lublinie i zapisać je na nie urodzone jeszcze dziecko. A ja przecież... ja nie mogłam... — głos załamał się niebezpiecznie i nagle zakryła rękami twarz. Szlochała cicho, ale tak gwałtownie, że z trudem łapała oddech. — Myślałam, że wtedy umrę na serce... Nigdy jeszcze nie byłam tak upokorzona... To było straszne... Chciałam natychmiast opuścić ten dom, ale nie mogłam. Bałam się, że zwariuję, że nie dojdę nawet do przystanku. Chciałam już nawet wzywać pogotowie... To było straszne... Wzięłam mocną dawkę relanium, dwie pastylki, a po godzinie jeszcze jedną... Nie patrzyłam już nawet na to, że mogę zasnąć na wieki. Obudziłam się dopiero gdzieś około czwartej nad ranem. W domu było cicho. Byłam tak słaba, że z trudem wstałam z łóżka. Poszłam do łazienki i właśnie wtedy zobaczyłam uchylone drzwi do salonu. Zdziwiłam się, co on o tej porze jeszcze robi. Bałam się następnej rozmowy z nim, ale wtedy było mi już wszystko jedno. Zajrzałam przez uchylone drzwi i myślałam, że w salonie nikogo nie ma. Weszłam, żeby zgasić światło i wtedy go zobaczyłam. Od pierwszej sekundy wiedziałam, że nie żyje. Nie myślałam wtedy o napadzie, o morderstwie ani o niczym strasznym, gwałtownym. Byłam przekonana, że to albo zawał serca, albo zasłabł i tak nieszczęśliwie upadł. Wtedy właśnie przyszedł mi do głowy ten straszny pomysł. Wiedziałam, że Nowacka rozwodzi się ze swoim mężem i byłam przekonana, że sama w tym domu mieszkać nie będzie. To nie dom dla takiej dziewczyny. Zajrzałam do sekretarzyka i właśnie tam, zupełnie na wierzchu, leżały te pieniądze i umowa. Zabrałam je, nie licząc nawet. Chciałam jeszcze przed szóstym grudnia, bo taka data była na umowie, skłonić Nowacką do zmiany. Oddałabym jej te osiemset pięćdziesiąt tysięcy złotych, dodałabym własne oszczędności, więc z naddatkiem zwróciłabym jej milion złotych i chciałam dodać do tego jeszcze moje mieszkanie. Trzy piękne pokoje w Lublinie, w przedwojennej kamienicy, to jest jednak coś. Nic złego przecież w końcu nie zrobiłam. Jan nie zostawił żadnego testamentu, tylko ja wiedziałam, że miał zamiar kupić Adamczykowej mieszkanie. W tym układzie gdybyście uznali śmierć mego brata za nieszczęśliwy wypadek, oddalibyście te pieniądze mnie. Wzięłam je sobie sama i trochę za wcześnie. Gdybym przewidziała, że Nowacka znajdzie się w szpitalu, nie ruszyłabym tych pieniędzy. Czekałabym spokojnie na jej powrót do zdrowia i dopiero wtedy zaproponowałabym jej tę zamianę. Mam te pieniądze i umowę w domu, mogę zaraz oddać, mogę wszystko oddać, ale — na Boga świętego — uwierzcie mi, że nie zabiłam Jana. To nie ja, lecz on mnie nienawidził. Możecie wszystko sprawdzić u naszych znajomych, oni znają szczegóły tamtego nieporozumienia sprzed lat i sami nieraz słyszeli, jak on źle o mnie mówił. Nie lubili go, nie mogli zrozumieć, że ja tak spokojnie na wszystko się godzę. Uwierzcie mi, że go nie zabiłam. Nie mam żadnych dowodów., ale nie zabiłam... Nie zabiłam...

VI

— Co też kobieta może z człowieka zrobić! — westchnął ponuro Zych, gapiąc się przez okno na zaśnieżoną ulicę. — Młody, bo młody, ale z Warszawy, jak by mu dobrze poszło, może za parę lat dyrektorem by został, no nie, szefie?

Szymański nie odpowiedział. Słyszał wprawdzie, że Zych coś mówi, ale cały był pochłonięty wertowaniem dokumentów.

— Ki diabeł — mruknął pod nosem i śliniąc wskazujący palec zaczął od nowa przerzucać kartki.

— Fajna babka — ciągnął nie zrażony brakiem odpowiedzi Zych — ale żeby z takiego powodu zapijać się na śmierć? Ja bym na jego miejscu zwinął manatki, wrócił do stolicy i wszystko zaczął od nowa. A ty, Wacek, co byś zrobił?

— Chyba też bym siedział i pił.

Zych ze zdumienia zaniemówił. Zdziwiła go nie

tyle odpowiedź, ile fakt, że protokolant odpowiedział bez namysłu i w dodatku nie szeptem. Zwykle z dziesięć razy zdążył zdjąć i nałożyć skuwkę długopisu, który wiecznie obracał w rękach, zanim otworzył usta. A kiedy już otworzył, mówił denerwująco cicho.

— Wie pan, co ja myślę? — ciągnął Wacek. — Nowacki stracił grunt pod nogami.

— Bzdura. Ileż to małżeństw się rozwodzi, ludziom umierają żony, dzieci, tracą majątki i co, wszyscy zaraz piją?

— Ja wcale nie powiedziałem, że on pije z powodu żony. Gdyby był tylko taki powód, inżynier piłby już od wielu miesięcy, kiedy to całe miasto zaczęło plotkować. Miałem wuja... — urwał w pół zdania. — No, nieważne, w każdym razie tak zachowują się ludzie, którzy już nic nie mają do stracenia.

Zych zdumiony niezwykłą gadatliwością protokolanta odwrócił się znowu do okna.

— I masz, Wacek, rację — przyznał nieoczekiwanie. — Pan inżynier rzeczywiście stracił grunt pod nogami. Leży jak długi. Ładnie zaczyna wigilię, nie ma co. Szefie — zwrócił się do Szymańskiego przerzucającego z coraz większą złością stos dokumentów — może by go odprowadzić do domu, co?

— Kto mi grzebał w tej teczce? — odezwał się wreszcie komendant. Był tak rozzłoszczony, że Zych na wszelki wypadek odsunął się od okna, a Wacek natychmiast usiadł przy swoim biurku.

— No, pytam! Kto w niej grzebał?

— A czego pan szuka?

— Zeznania maszynistki Nowackiego.

— Na pewno jest w tej teczce — zapewnił Wacek — tylko trzeba spokojnie poszukać. Ja zaraz znajdę — zaproponował.

— Szefie, pan myśli, że ona kryła Nowackiego? — podniecił się Zych. — Wszystko by wtedy pasowało. Wacek przed chwilą mówił, że nasz inżynier stracił grunt pod nogami. Myśli pan, że on z zazdrości zabił „hrabiego"?

— Gdyby Nowacki był zazdrosny, trup w Piaskach słałby się gęsto i często.

— Oczywiście, że jest — oznajmił Wacek.

— A skąd ty to wiesz? — zdziwił się Szymański.

— Przecież trzymam w ręku — odpowiedział równie zdziwiony protokolant. — Podpięła się pod zeznanie Adamczykowej i dlatego nie mógł pan tej kartki znaleźć. Proszę — podsunął Szymańskiemu zeznanie maszynistki.

Protokół nie był obszerny, Szymański jednak bardzo długo wpatrywał się w kartkę.

— Wacek — odezwał się wreszcie — od kiedy ty jesteś jasnowidzem?

— Nie rozumiem — wybąkał i poczerwieniał jak sztubak.

— Rozumiesz, rozumiesz.

— No... dziś rano... — protokolant zaczął się jąkać — nudno... nic się nie działo... więc ja, ot tak sobie, porządkowałem.

— Piękne porządki, detektywie — zakpił Szymański, ale zaraz spoważniał. — Skoro masz tak dobrą pamięć, to przypomnij mi, czy ta maszynistka mówiła coś o zegarku?

Wacek poczerwieniał jeszcze mocniej. I ku pełnemu osłupieniu obu milicjantów zwrócił się do komendanta per „szefie":

— Szefie, to znaczy, że ja wcale taki głupi nie jestem — zaczął mówić bardzo jak na niego szybko i głośno. — Mnie to dopiero dziś przyszło do głowy. Czysty przypadek. Zepsuł mi się zegarek. Przez parę dni wszędzie się spóźniałem. Zegarmistrz powiedział mi wczoraj, że to normalne. Czas bez zegarka płynie wolniej niż na zegarku. I dziś rano, jak pan wyskoczył na godzinkę, pozwoliłem sobie.

— Pogrzebać w teczce — dokończył Szymański. — Inżyniera tylko pół godziny w fabryce nie było, a maszynistka, jak tu jest zapisane — postukał palcem w kartkę — zdążyła zaparzyć herbatę, wypić, poczytać „Przyjaciółkę".

— Jasny gwint! — krzyknął podniecony Zych, który wreszcie połapał się w tej rozmowie. — Ale mamy pecha, wiem, że wyjechała już na święta do krewnych, gdzieś na Pomorze.

— Jest Nowacki.

— Ano jest. Powinien jeszcze leżeć trzydzieści metrów od nas.

— Znowu pijany?

— Jak bela.

Szymański zastanawiał się chwilę, w końcu jednak machnął ręką i kazał Zychowi przyprowadzić inżyniera.

Po paru minutach Nowacki wszedł do pokoju. Wcale nie sprawiał wrażenia mocno pijanego. Był wprawdzie utytłany w śniegu, poruszał się jednak pewnie.

— Od samego rana tak ostro? Wódka, inżynierze, nikogo nigdzie jeszcze nie zaprowadziła — rzekł Szymański tonem kaznodziei.

Nowacki przymrużył jedno oko dając do zrozumienia, że w tej sprawie ma akurat odmienne

zdanie. Otrzepał niedbale jesionkę, na której topniał już śnieg, pozostawiając mokre ślady. Jeszcze tak niedawno inżynier Nowacki uchodził w Piaskach za wzór męskiej elegancji, teraz niewiele różnił się od furmana. Brudna koszula, nie ogolona twarz wskazywały, że chyba nie spał tej nocy we własnym łóżku.

W pokoju zapadła denerwująca cisza. Szymański nagle pojął, że się najzwyczajniej boi. Nie miał przecież żadnych dowodów. Nie miał nic. Chciał tylko znać odpowiedź na jedno pytanie — czy maszynistka miała tamtej nocy zegarek? „Przecież Nowacki nie zabił »hrabiego«" — zdanie to wbiło mu się w mózg w chwili, gdy tylko inżynier przekroczył próg; kołacząc się natrętnie po głowie przeszkadzało zebrać myśli. Z pomocą nieoczekiwanie przyszedł sam Nowacki.

— Tylko jedna setka, panie władzo — rzekł nonszalancko i przysunął sobie krzesło. — Dla rozgrzewki. Przed restauracją takie lodowisko, że i pan wyłożyłby się jak długi. Ja dopiero mam zamiar się upić. Jak zacznę dziś wieczorem, to skończę dopiero w przyszłym roku

— Chyba już nie zdąży pan się upić — zaryzykował Szymański. Strzał w ciemno okazał się celny. Nowacki nagle skurczył się, zszarzał na twarzy.

— Nie powiedział pan nam, że maszynistka nie miała zegarka — brnął dalej na oślep Szymański.

Nowacki spuścił nisko głowę.

— Podał jej pan fałszywy czas, usiłując zapewnić sobie alibi.

Nowacki podniósł głowę. Był bardzo blady, lecz Szymański nie dostrzegł w jego twarzy nawet cienia strachu.

— Podałem jej taki czas, jaki był na moim zegarku — powiedział zachrypniętym głosem. — Ale to i tak nie ma już znaczenia — dodał po chwili. — Nic już nie ma znaczenia, nic...

Szymański patrząc na pobladłą, pełną rezygnacji twarz inżyniera poczuł się nagle tak, jakby ktoś go przywalił stukilowym workiem. Wiedział, że wygrał, że to już koniec sprawy, ale zamiast ulgi ogarnęło go straszliwe zmęczenie, zupełnie nienormalne. Odwrócił twarz do okna. Nie chciał już patrzeć na Nowackiego. Na zaśnieżonej ulicy ruch był spory. Pakunki, torby, siatki, jakiś chłopak ciągnął za sobą wielgachną choinkę. Za parę godzin wigilia.

— Dlaczego zabił pan Krajewskiego? — spytał tak cicho, jakby pytał samego siebie.

VII

Stała przy oknie i patrzyła od przeszło pół godziny na padający bez przerwy śnieg. Przy niedalekim kiosku „Ruchu" wiła się długa kolejka — ludzie kupowali na święta zapasy papierosów, gazety, szampony do mycia włosów, nawet jakieś drobne zabawki na gwiazdkę dla dzieci. Przyglądała się uważnie babinom wiejskim zakutanym w wielkie wełniane chusty, chłopom w filcowych walonkach i czuła się najnieszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Nie kupiła nawet gałązki świerkowej, którą by mogła położyć na stole. Nie wiedziała, czy wytrzyma do wieczora w tym domu. Każdą godzinę spędzoną tu po powrocie ze szpitala uważała za straconą. Nie miała jednak odwagi uciekać. Wiedziała, że straciła już wszystko, że trzeba będzie zaczynać życie od nowa. Wiedziała, że już nigdy nie pójdzie do apteki i że już nigdy nie będzie umiała serdecznie spojrzeć na swego męża. Zresztą oboje już wiedzieli, że nie są dla siebie żoną i mężem. Dwoje obcych, naprawdę obcych sobie ludzi. I na żaden cud już nie liczyła.

Wiedziała wszystko i właśnie to ją najbardziej męczyło. Ileż by dała, gdyby ta straszna sprawa rozegrała się poza nią, bez jej udziału. Wiedziała jednak. I wiedziała, że w końcu wszystko musi się wydać. Musi. Dlatego też nie uciekała. Czekała każdego dnia na przyjście milicji. Mogła pójść sama do komendy i wszystko opowiedzieć. Mogła, lecz nie chciała. Nie dlatego, żeby liczyła na wyjątkowe szczęście, na fuks, który pozwoli im dalej spokojnie żyć. Po prostu nie chciała już niczego, dosłownie niczego dodawać od siebie, przyspieszać.

Przez zaśnieżoną jezdnię przebiegła młoda dziewczyna i tuż przy krawężniku poślizgnęła się. Upadła tak nieszczęśliwie, że nie mogła o własnych siłach wstać. Ludzie z kolejki przy kiosku podbiegli do niej, ktoś ją podtrzymał, ktoś inny otrzepał ze śniegu, jakaś starsza kobieta zbierała rozrzucone na jezdni paczki.

Tak — pomyślała z zadumą — mnie by chyba ci ludzie nie pomogli wstać. Byłam dla nich zarazą, latawicą, samym złem. A cóż ci ludzie o mnie wiedzą? Cóż? I przecież, kiedy to wszystko wreszcie się wyda, powiedzą, że inaczej być nie mogło.

Dziewczyna usiadła na ławce, którą jakiś mężczyzna oczyścił gołą ręką ze śniegu. Próbowała zdjąć but z nogi.

Może skręciła kostkę, albo może złamała nogę — pomyślała beznamiętnie. — Też nie będzie miała wesołych świąt.

Przypomniała sobie święta w rodzinnym domu. I poczuła, że łzy zakręciły się jej w oczach.

Matka sama, może pójdzie do przyjaciółki na wigilię? Mogłabym do niej pojechać. Nie zdążyłabym na wieczór, ale jutro rano byłabym już u niej. W Słupsku chyba znajdzie się jakaś praca dla mnie, można by tam zacząć żyć od nowa. Nie znaleźliby mnie już ci ludzie, nie mogliby już pokazywać palcami...

Dziewczyna zdjęła z głowy seledynową wełnianą chustkę i owiązała nią kostkę. Dwaj mężczyźni wzięli ją pod pachy i poprowadzili do ośrodka zdrowia.

Ta przeklęta chustka — pomyślała i poczuła chłód na plecach. — Gdyby nie ta chustka... Gdybym wtedy nie była tak zdenerwowana... Gdyby nie zepsuł się samochód... Ale stało się. Stało się i już nic się nie zmieni.

Odeszła na chwilę od okna, poszukała paczki papierosów, wyjęła jednego, lecz nie zapaliła. Sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej białą kopertę. Jeszcze raz, może już setny, przeczytała list. Znała każde zdanie na pamięć, ale ciągle czytała.

Dlaczego? — pomyślała nawet już bez nienawiści. — Dlaczego napisano ten list? Dlaczego jest tyle podłości w ludziach? Gdyby nie ten list, gdyby nie ten list, może by nie doszło do tego nieszczęścia...

Usłyszała pukanie w drzwi. Bez pośpiechu poszła otworzyć. Kiedy zobaczyła milicjanta w mundurze, odetchnęła z ulgą.

— Proszę się ubrać, musi pani pójść ze mną do komendy — powiedział sierżant Zych.

— Wiem, że muszę — zgodziła się pogodnie. Ubrała się i wyszła z domu. Na ulicy obejrzała się, nawet przystanęła na chwilę tak, jakby chciała zapamiętać tę jednopiętrową, żółtawą kamienicę. Potem poszła już szybko patrząc pod nogi.

Zych wprowadził ją do pokoju Szymańskiego. Był tam już jej mąż. Nie spojrzał nawet na nią. Siedział dziwnie zgarbiony z opuszczonymi w dół rękami.

Usiadła obok niego. Przyjrzała mu się uważnie i nagle poczuła dawno już zapomnianą tkliwość. Chciała dotknąć jego ręki, powiedzieć coś serdecznego, przytulić się nawet na oczach wszystkich milicjantów.

— Ryszard... — szepnęła bezwiednie.

Drgnął. Spojrzał na nią przez moment i natychmiast spuścił oczy.

— Mąż pani przyznał się do wszystkiego — poinformował ją Szymański.

— To znaczy, konkretnie, do czego? — spytała tak śmiało, że Szymański aż podniósł ze zdziwienia brwi.

— Do zabójstwa Jana Krajewskiego. Nieumyślnego co prawda — jak sam twierdzi — ale jednak do zabójstwa.

— I do czego jeszcze?

— Nie rozumiem — wyznał szczerze Szymański, zaskoczony zachowaniem Nowackiej.

— Ponieważ ja też wiele wiem i jestem współwinna. Świadomie nie chciałam do was przyjść z ważnymi informacjami. Teraz więc chciałabym wiedzieć, co mówił mój mąż. Może nie powiedział wszystkiego?

Szymański potarł ręką czoło. Zastanawiał się przez moment, jaką metodę przyjąć, ale uznał zapewne, że warto przekazać Nowackiej zeznanie jej męża.

— Mąż pani przyznał się, że wyjechał z fabryki tuż przed dziesiątą i od razu pojechał do Krajewskiego. Zostawił służbowy samochód kilkaset metrów przed jego posesją i dalej poszedł piechotą. Zakradł się do ogrodu. Był przekonany, że pani tam jeszcze jest. Wszedł do domu, drzwi były otwarte, Krajewski siedział w salonie. Pani mąż był przekonany, że zdążyła pani uciec lub schowała się w innym pokoju. Krajewski podobno drwił z pani męża, a potem kazał wyjść. A ponieważ mąż pani nie chciał wyjść, Krajewski podobno chciał go do tego siłą zmusić. I właśnie wtedy inżynier silnie odepchnął od siebie Krajewskiego, ten stracił równowagę, próbował chwycić się jakiegoś mebla, ale do reszty stracił równowagę i upadł na ten stolik. Jak wiemy, zmarł natychmiast. A mąż pani zamiast zawiadomić nas o tym wypadku, uciekł. I — jakkolwiek na sprawę patrzeć — jest winny.

— Nie przeczę, że jest winny — zgodziła się Nowacka — ale nie każda wina jest jednakowa.

— Mógł ją zmniejszyć, a zwiększył. Mógł, jak już powiedziałem, natychmiast nas o tym zawiadomić i wówczas byłyby większe szanse na uznanie tej śmierci za nieszczęśliwy wypadek. Teraz jednak już nikt nie będzie mówił o nieszczęśliwym wypadku, a najwyżej o nieumyślnym zabójstwie.

Mąż pani pomyślał nawet o alibi dla siebie. Wiedział, że maszynistka nie ma zegarka i wmówił jej, że jest godzina dwudziesta druga trzydzieści, czyli akurat ta, o której umarł Krajewski. Dla prokuratora ten fakt będzie dowodem wysoce obciążającym, bo świadczącym o przygotowaniu zabójstwa.

— Mógł tylko skorzystać ze szczególnie sprzyjającej okazji — zaprotestowała Nowacka. — Wrócił do fabryki i dopiero wtedy właśnie zorientował się, że maszynistka nie ma na ręku zegarka. Chciał się ratować i tylko tyle. I przecież pan wie, panie komendancie, że tamtego wieczoru było zbyt wiele wyjątkowych zbiegów okoliczności, choćby awaria naszej syreny. Gdyby nie zalane świece, pojechałabym do domu i w ogóle nie doszłoby do tego nieszczęśliwego wypadku. Ryszard wiedziałby bowiem, że mnie już u Krajewskiego nie ma. Zawróciłby więc do fabryki, a Krajewski by żył i być może dziś wieczorem oboje siedzielibyśmy w tamtym salonie przy wigilijnym stole. Pan przecież to wie. Tak naprawdę mogło być.

— Stało się jednak inaczej. Czy pani znalazła wreszcie tę chustkę?

— Zaraz tego samego dnia, kiedy wróciłam ze szpitala. Pan oczywiście może mi nie wierzyć. Była w szafie. Na wierzchu. Sądzę, że Ryszard specjalnie położył ją na wierzchu. Bo jeśli pomyślał o stworzeniu sobie alibi, to przecież mógł tę chustkę spalić, podrzeć, wyrzucić na śmietnisko. Położył ją jednak w szafie, na wierzchu, i ja wiem, dlaczego. Dlatego, żebym wszystkiego od razu się domyśliła. I domyśliłam się, ale do was nie przyszłam. Czekałam, aż sami dojdziecie prawdy. Nie liczyłam na wasze błędy. Dla mnie jednak to nie była zbrodnia i dlatego nie przyszłam do was. Mówił panu o liście?

— O jakim liście? — zainteresował się Szymański, a Nowacki poderwał się z krzesła.

— Nie było żadnego listu, nie mogłaś go znaleźć! — krzyknął głośno. — Henryko, nie dawaj tego listu, błagam cię, nie rób tego, zniszcz ten list, na Boga, zniszcz!

— Uspokój się, Ryszard, uspokój się. Ty nadal w to wierzysz? Nadal? Przecież gdyby to była prawda, nie wspomniałabym o liście. Ale to paszkwil, jeszcze jeden paszkwil i nic więcej. Szkoda, że wierzyłeś bardziej ludziom niż mnie. To był twój jedyny, ale bardzo duży błąd. Nigdy nie sądziłam, że będę o tych sprawach mówić z tobą przy tylu świadkach, i to świadkach bardzo specjalnych. Muszę ci jednak teraz powiedzieć, choćby to miało być śmieszne i głupie. Ja ciebie nigdy nie zdradziłam. Nigdy i z nikim. To były tylko plotki. Plotki, którymi nie umiałam się przejąć. Byłam ponad nie, ale ty wierzyłeś, drżałeś o swoją opinię, drżałeś o swoją karierę i wierzyłeś ludziom, i chciałeś robić tak, żeby im się przypodobać. O mnie nie myślałeś. A ja cię nigdy nie zdradziłam. Proszę — podała Szymańskiemu białą kopertę. — To jest ten list.

Szymański wyjął kartkę maszynopisu. Przeczytał ją uważnie i wreszcie wszystko zrozumiał.

List był krótki i, oczywiście, anonimowy. Szymański wiedział już jednak, kto go mógł napisać — tylko Krajewska.

Szanowny Panie Inżynierze, pańska żona jest kochanką Jana Krajewskiego, a właściwie była nią. Krajewski znudził się już nią i chciałby mieć spokój, ale pańska żona jest nie tylko lafiryndą spod ciemnej gwiazdy, ale i oszustką. Szantażuje Krajewskiego ciążą. Żąda od niego pieniędzy, dużo pieniędzy. Krajewski zagroził, że poda ją do sądu. Jeśli Pan nie chce skandalu, niech Pan natychmiast wyjeżdża ze swoją żoną z Piasków. Natychmiast. I niech Pan nie dopuści do tego, żeby Krajewski zaczął jej płacić, bo wtedy ja ujawnię wszystko. A wiem bardzo dużo i mam dowody. Życzliwy.

Życzliwy... — pomyślał z goryczą.

— Boże chroń nas przed taką życzliwością — powiedział głośno. — I pan w to uwierzył, panie inżynierze? — spytał z niedowierzaniem.

Nowacki wzruszył ramionami.

— Ja w nic już nie wierzę — powiedział i nagle zakrył twarz rękami. — Przecież ten dom — wychrypiał z trudem — kosztuje więcej. Dlaczego miałby dawać jej ten dom za darmo?

— Milion to nie jest darmo, panie Nowacki — zauważył Szymański.

— Ale ja nic nie wiedziałem o tym milionie! Nic! A wiedziałem, po co tam pojechaliśmy. Tego właśnie dnia, zaraz po południu, zadzwoniła do mnie, do fabryki, jakaś kobieta i powiedziała o wszystkim. Powiedziała, że Henryka jest umówiona na wieczór z Krajewskim w sprawie przejęcia tego domu. Powiedziała, że moja żona chce się zaasekurować i tylko dlatego zabierze mnie ze sobą. A kiedy w złości, bo już zupełnie nad sobą nie panowałem, krzyknąłem do niej „ty stara babo", nazwała mnie stręczycielem. Musiałem tam pojechać, musiałem przekonać się, czy to

wszystko jest prawdą. I przekonałem się, ale nie chciałem mścić się na Krajewskim. Wróciłem do fabryki, byłem pijany, tak, byłem pijany i dlatego zamknąłem się w swoim pokoju. Bałem się, że zwariuję. Wszystko, dosłownie wszystko waliło mi się na łeb. Rano dyrektor zawiadomił mnie, że Dąbka przenoszą do Lublina i to w dodatku na etat wicedyrektora. Dąbka! Dąbka, którego należałoby raczej zwolnić. Więc Dąbek, który nigdy niczym się nie przejmował, robi karierę, a ja, dureń zatracony, mogę dostać po nim w spadku mieszkanie. Nawet już się nie kłóciłem z dyrektorem, tylko trzasnąłem drzwiami i napisałem wymówienie. Nie zdążyłem dać wymówienia, bo w pół godziny później przyjechała delegacja z Warszawy. Dyrektor błagał mnie, żebym swoje osobiste sprawy odłożył na razie na bok, obiecywał nagrody i poparcie, ale ja miałem już wszystkiego dość. Wiecie, czym się to skończyło. Dyrektora w Piaskach już od trzech tygodni nie ma. I wszyscy mówią, że to właśnie ja go wygryzłem. Później ten telefon, później wizyta u Krajewskiego. Za dużo, stanowczo za dużo jak na jeden raz. Wieczorem już wiedziałem, że dyrektor przegrał. I wiedziałem, że ja też w Piaskach nie zostanę. Jeden człowiek nie naprawi Rzeczypospolitej. Ja miałem za sobą rację i tylko trzy lata stażu, dyrektor miał za sobą wszystkich. Wiedziałem, że tu już nie będzie dla mnie życia. Innym razem może bym się tak bardzo nie przejął tymi sprawami, ale wtedy... Wtedy musiałem sprawdzić, co robi żona. Musiałem wiedzieć wszystko i do końca. Dlatego pojechałem do Krajewskiego. Samochód stał. Zakradłem się pod dom. Wyglądało na to, że Krajewski już śpi. I nagle usłyszałem jakiś niewyraźny szept. Zakradłem się pod okno. Usłyszałem, że Krajewski mówił coś o dziecku, żeby dbać o nie, dobrze wychować i coś jeszcze. Ciemno zrobiło mi się przed oczami. Stałem pod tym oknem bardzo długo, bałem się, że jeśli zrobię krok, to albo upadnę albo gołymi rękami roztrzaskam szybę. Powoli uspokoiłem się i postanowiłem natychmiast porozmawiać z Krajewskim. Drzwi wejściowe były otwarte. Wszedłem. W domu było cicho. Mimo to poszedłem w kierunku salonu i usłyszałem tam jakiś szmer. Drzwi były uchylone. Krajewski stał w rogu pokoju i trzymał w ręku spory plik pieniędzy. Kiedy mnie zobaczył, schował pieniądze do szuflady i zaczął się strasznie śmiać. Śmiał się jak wariat. Nie wiem, może śmiał się ze mnie, bo może domyślił się celu mojej powtórnej wizyty. Ale wtedy wydawało mi się, że ze mnie, z jelenia, z przygłupka, z durnia. Zacząłem tak głośno krzyczeć na niego, że omal się tym krzykiem nie udławiłem. A on się śmiał. Śmiał się bez przerwy. Wreszcie przestał się śmiać i kazał mi się wynosić. „Durniu — tak powiedział do mnie — wynoś się stąd, durniu!" Powiedziałem mu, że się nie ruszę, dopóki nie przyprowadzi do tego pokoju Henryki. Myślałem, że ona jeszcze jest, że może nawet w sąsiednim pokoju przysłuchuje się tej awanturze. Siadłem i powiedziałem, że stręczycielem nie będę i nie ruszę się stąd bez żony. Wtedy on właśnie chwycił mnie za ramiona i krzycząc chciał mnie wypchnąć. Odepchnąłem go silnie w tył i siadłem z powrotem. I do końca życia nie zapomnę tego widoku. Krajewski, jak na zwolnionym filmie, przechylił się w tył, próbował złapać się ręką oparcia fotela, ale ręka poślizgnęła się po obiciu i Krajewski upadł najpierw na stolik, a potem stoczył się na podłogę. Wtedy właśnie zobaczyłem na stoliku chustkę mojej żony. Wstałem, wziąłem chustkę i wyszedłem. Niczego już nie chciałem, na niczym mi nie zależało. Wróciłem do fabryki. I żadnego alibi nie chciałem sobie stwarzać. Możecie mi wierzyć albo i nie. Ja mówiłem maszynistce prawdę. Na moim zegarku była dwudziesta druga trzydzieści. Dopiero po jakimś czasie zorientowałem się, że zegarek stoi. Musiałem uderzyć nim o poręcz krzesła. Jedyny dowód na to, że mówię prawdę, ma zegarmistrz Piasecki. Następnego dnia wieczorem zaniosłem do niego zegarek do naprawy. Nie wiedziałem, że zabiłem Krajewskiego. Więcej: nie chciałem go zabić. Kiedy upadł i kiedy zobaczyłem tę chustkę, już na niczym mi nie zależało. Po prostu wyszedłem. Nie sprawdziłem, czy nie żyje, bo mi to do głowy nawet nie przyszło. Tyle ludzi upada i przecież nie wszyscy zaraz umierają. A potem, kiedy mi powiedzieliście, że Krajewski nie żyje, byłem pewien... — głos mu się załamał i już nie skończył zdania. Trzymał nadal ręce przy twarzy i milczał.

— Sądził pan, że to żona?

Kiwnął głową.

— I dlatego zaczął pan dzień w dzień pić?

Znowu kiwnął głową.

— A kiedy zorientował się pan, że to nie ona?

— Po jej powrocie ze szpitala. Dopiero wtedy dowiedziałem się, o której godzinie był ten straszny wypadek. I wtedy już wiedziałem, że to ja zabiłem Krajewskiego. Zacząłem pić jeszcze więcej, bo i cóż mi pozostało? Nic nie miało już dla mnie sensu... I nie bałem się, nie bałem się, bo i

cóż traciłem? Nic — rozłożył bezradnie ręce. — Nic a nic. Zacząłem się bać dopiero teraz, kiedy Henryka wyjęła ten list. Ja jeszcze do tego momentu wierzyłem, że to prawda. A ta prawda była równoznaczna z zabójstwem z premedytacją, z zemstą zdradzonego jelenia. Wiem, że zabiłem, ale nie jestem mordercą. Nie jestem mordercą! Uwierzcie mi — błagalnym wzrokiem spojrzał na Szymańskiego.

— Ja ci wierzę — szepnęła Henryka.

Szymański mocno potarł czoło.

— Ja panu też wierzę i mam nadzieję, że prokurator też uwierzy. Ileż złego zrobiła tylko ta jedna kobieta — pokiwał głową. — Ileż złego...

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 0



W latach 1976-82 w serii „Ewa wzywa 07"
ukazały się:

ISBN 83-207-0296-8

Cena zł 25.—